

OKUŃ. 1903.

CHIMERA—TOM IX—ZESZ. 27.

REDAKCYA—WARSZAWA, NOWY ŚWIAT, 22.

TREŚĆ

TOM IX. ZESZYT 27. — XII/MCMV.

KRONIKA MIESIĘCZNA

Autolitografię okładkową odbito w zakładzie W. GŁOWCZEWSKIEGO w Warszawie.

Światłodruk z rysunku K. TICHEGO wykonano w chemigrafii B. WIERZBICKIEGO; autotypie i cynkotypie — w zakładzie TOW. AKCYJNEGO S. ORGELBRANDA SYNÓW w Warszawie.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."

Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, autotypie — TOMASZ STANKOWSKI, okładkę — FRANCISZEK ADAMCZEWSKI.

Pod zarządem PIOTRA UKLAŃSKIEGO

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie

Fortepian Szopena.

(Do Antoniego C....)

La musique est une chose étrange!
Byron.

L'art?... c'est l'art — et puis, voila tout. —
Béranger.

I.

Byłem u Ciebie w te dni przedostatnie
Niedocieczonego wątku
— Pełne, jak Myth,
Blade, jak świt... —
Gdy życia koniec szepcze do początku:
„NIE STARGAM CIĘ JA — NIE! — JA UWY-
DATNIĘ!..“

II.

Byłem u Ciebie w dni te, przedostatnie,
Gdy podobniałeś — co chwila, co chwila —
Do upuszczonej przez Orfeja liry,
W której się rzutu moc z pieśnią przesila:

I rozmawiają z sobą struny cztery,
Trącając się
Po dwie — po dwie —
I szemrząc z cicha:
„ZACZĄŁ-ŻE ON
„UDERZAĆ W TON?..
„CZY TAKI MISTRZ!.. ŻE GRA... CHOĆ ODPYCHA?"

III.

Byłem u Ciebie w te dni, Fryderyku!
Którego ręka — dla swojej białości
Alabastrowej, i wzięcia, i szyku,
I chwiejnych dotknięć jak strusiowe pióro —
Mieszała mi się w oczach z klawiaturą
Z słoniowej kości...
I byłeś jako owa postać, którą
Z marmurów łona,
Niźli je kuto,
Odejma dłuto
Geniuszu — wiecznego Pygmaliona!

IV.

A w tem, co-ś grał — i co zmówił ton, i co powie,

Choć inaczej się echa ustroją,
Niż gdy błogosławiłeś sam ręką Swoją
Wszelkiemu akordowi —
A w tem, co-ś grał, taka była prostota
Doskonałości Peryklejskiej.
Jakby starożytna która cnota,
W dom modrzewiowy wiejski
Wchodząc, rzekła do siebie:
„*ODRODZIŁAM SIĘ W NIEBIE,*
„*I STAŁY MI SIĘ ARFĄ WROTA,*
„*WSTĘGĄ ŚCIEŻKA...*
„*HOSTYĘ PRZEZ BLADE WIDZĘ ZBOŻE...*
„*EMANUEL JUŻ MIESZKA*
„*NA TABORZE!*“

V.

I była w tem Polska, od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów
Wzięta tęczą zachwytu —
Polska—PRZEMIENIONYCH KOŁODZIEJÓW!
Taż sama zgoła,
Złotopszczoła...
(Poznałciżebym ją na krańcach bytu!..)

VI.

I — oto — pieśń skończyłeś — — i już więcej
Nie oglądam Cię — — jedno słyszę
Coś... jakby spór dziecięcy...
— A to jeszcze kłócą się klawisze
O niedośpiewaną chęć,
I trącając się z cicha
Po ośm — po pięć —
Szemrzą: „POCZĄŁŻE GRAĆ? CZY NAS ODPYCHA?..“

VII.

O Ty! — co jesteś Miłości profilem,
Któremu na imię DOPEŁNIENIE;
To — co w Sztuce mianują Stylem,
Iż przenika pieśń, kształci kamienie...
O! Ty — co się w Dziejach zowiesz ERĄ,
Gdzie zaś ani historyi zenit jest,
Zwiesz się razem: DUCHEM i LITERĄ
I „CONSUMATUM EST...“
O! Ty... DOSKONAŁE — WYPEŁNIENIE,
Jakikolwiek jest Twój i gdzie... znak,
Czy w Fidiaszu? Dawidzie? *czy w* Szopenie?
Czy w Eschylesowej *scenie?..*

Zawsze — zemści się na tobie: BRAK…
— Piętnem globu tego niedostatek:
DOPEŁNIENIE… go boli…
On ROZPOCZYNAĆ woli
I woli wyrzucać wciąż przed się zadatek!
— Kłos?.. gdy dojrzał jak złoty kometa,
Ledwo że go wiew ruszy,
Deszcz pszenicznych ziarn pruszy,
Sama go doskonałość rozmieta!

VIII.

Oto — patrz, Fryderyku!.. to Warszawa:
Pod rozpłomienioną gwiazdą
Dziwnie jaskrawa — —
Patrz, organy u Fary, patrz! Twoje gniazdo,
Ówdzie patrycyalne domy stare
Jak POSPOLITA RZECZ,
Bruki placów głuche i szare
I Zygmuntowy w chmurze miecz.

IX.

Patrz!.. z zaułków w zaułki
Kaukazkie się konie rwą,

Jak przed burzą jaskółki,
Wyśmigając przed pułki
Po sto — *po* sto — —
— *Gmach zajął się ogniem, przygasł znów,*
Zapłonął znów — — i oto pod ścianę
Widzę czoła ożałobionych wdów
Kolbami pchane — —
I znów widzę, acz dymem oślepian,
Jak przez ganku kolumny
Sprzęt podobny do trumny
Wydźwigają... runął... runął... Twój fortepian

X.

Ten!.. co Polskę głosił, od zenitu
Wszechdoskonałości dziejów
Wziętą, hymnem Zachwytu —
Polskę, przemienionych kołodziejów,
Ten sam — runął — na bruki z granitu!
— *I oto, jak zacna myśl człowieka,*
Poterany jest gniewami ludzi,
Lub JAK — OD WIEKA
WIEKÓW — WSZYSTKO, CO ZBUDZI!
I oto, jak ciało Orfeja,
Tysiąc pasyj rozdziera go w części;

A każda wyje: „nie ja!..“
„Nie ja!“ — *zębami chrzęści* — —

Lecz Ty? — lecz ja? — uderzmy w sądne pienie,
Nawołując: „*CIESZ SIĘ, PÓŹNY WNUKU!..*
„*JĘKŁY GŁUCHE KAMIENIE:*
„*IDEAŁ SIĘGNĄŁ BRUKU* — —“

1865. Cypryan Norwid.

VI.

Milczenie, co się otwiera, a nie zamyka nigdy... Milczenie, które wstaje i idzie w czarną dal...

Głos słychać w ciszy.

Poszum-li to wiatru żałosny, żałosny?... Świst-Poświst-li to wzdycha u krat, czy jeno serca strudzonego jęk w pustej piersi?

Z głębin wychodzi zmora cicha. Oczy jej kaprawe, jak u mysznieńskiego biskupa, a piersi pełne szlochu. Staną owe oczy, zawalone bryłami łez, naprzeciwko oczu Walgierza, a usta wieszczka płaczącego naprzeciwko ust. Głos kusiciel, głos tajemniczej mądrości przepływa wpośród nocy. Słyszy go Walgierz w głębinie duszy swej, jakoby głos własnego sumienia.

A gdzie na duszę padnie ciężka łza wieszczego głosu, tam wyrasta subtelnie piękny kwiat rozczarowania,

szerzą się nikłe, urocze barwy zwątpienia. Wokół wyrasta jasna łąka, wirydarz chwiejny, wysoki. Zdaje się oczom w ciemność patrzącym, że widzą wieszcze zioła w podwórcu świętej kontyny, zaczarowane kwiaty u źródlisk bijących z ziemi.

Uludne badyle i mniemane kielichy, wykwitłe z krwi, co uszła z żył świętych jeleni i w żyły się wtoczyła kwiatowe, wylewają zapach wieczysty.

Szept wokół senny:

— Rycerzu, rycerzu...

Czyliżeś kiedy był za drzwiami jęku, azaliś wstępował kiedy do ciemnicy serca, co bije ostatni raz?

Gdzieżeś był, noszony przez konie sławy we wichrach, kiedy żegnał oczyma zorzę niebiosów pobity mieczem twoim?

Czyliżeś słyszał stękanie i trzask stannicy złamanej, a szloch i łomot upadającej chorągwi?

Rycerzu, rycerzu...

Wysłuchaj teraz, jak brzmi tętent dolatujący konia zwycięscy, a jak szczękają podkowy w błonach ucha tego, co został na krwawem polu i cicho leży sam jeden.

Bądź pozdrowiony, samotny!

Bądź pozdrowiony, samotny, od nas, które rośniemy za wrotyma wieczności, a pamiętamy o wszystkiem.

Niech się twe serce strudzone uciszy.

Niech dusza spocznie w sobie samej.

Spojrzyj, samotny, strudzony, w źródło wody wiecznie wytryskającej i twarz swoją rozeznaj... —

VII.

Rzecze pan:

— Azali jeszcze knujesz zemstę?

— Knuję zemstę.

— Oto ci mówię miłościwe słowo. Zważ je w sumieniu, mocno ujmij rozumem. Z włostów odwiecznych idziesz rodu, jako i ja. Aleś upadł z ręki mojej i zwalon jesteś na wieki. Nie będziesz już nigdy księciem na Tyńcu, nad Wisłą białą i nad szumiącemi lasami. Czy mię rozumiesz?

Odpowie więzień:

— Nie.

— Czemuż nie rozumiesz sprawy tak oczywistej?

— Jakże, będąc włostem z krwi pradziadów, mogę zarazem włostem nie być?

— Dla tego nim nie jesteś, że ja jestem tobą.

— Czemże ja się stałem, jeśli ty jesteś mną?

— Jesteś niczem, ponieważ jesteś w kajdanach.

— Czyli się tylko nie mylisz?

— Nie mylę się. Któżby mógł koniądza zabić bez kary? Nikt. Ja zaś mógłbym cię zabić bez kary, a tejże chwili mógłbym rozkazać trupa twojego wywlec za próg i rzucić w zgniłą fosę. Jakież twe życie? Skinę i być przestaniesz...

— Skiń!

— Zechcę, ażebyś żył w moich oczach wielmożnych, i musisz żyć. Taka ma wola. Tak musisz żyć, jak ja zechcę. Myśl długo nad głębokością mej łaski. Mogę cię zabić i trupa twojego rzucić w fosę, a ja cię życiem daruję i bratem zowię.

— Jakże to mam uczynić, żeby zaprzestać być sobą? Daj mi radę, o bracie.

— Daję ci radę: zapomnij!

— A jakże się to czyni, żeby zapomnieć, ty, który wszystko wiesz?..

— Odwróć oczy od rzeczywistości i patrz w złudzenie. Patrz w złudzenie swego majestatu. W złudzeniu jest siła życia. Rycerską wolę, rycerską moc, wszystką rycerską duszę zarygluj w pieśń, podobnie, jak ja ciebie zamknąłem w dyby. Pieśń sobie wyśpiewaj o swej wielkości... —

Śmieje się pan.

Więzień zamilkł. Popadł w zadumy, w sny.

Oczy ma w ziemię wbite, plecy zgięte, ręce rude i żelazne, jak zardzewiałe żelazo skoblicy.

Wlecze się jego senna myśl.

— Stołek mój wyniosły uczynił Wiślimierza mądrym, potężnym. Miejsce moje wysokie uczyniło go wielkodusznym. Mógłby mię Wiślimierz zabić bez kary, a dał mi życie. Jest Wiślimierz potężny, mądry i dobry. Jest jakoby ojciec mój rodzony, bo mi życie darował.

Cóżem ja jest, zapomniany? Cóżem ja jest zaiste? Któż mi odpowie? Możem jest zaprawdę nie rycerz i nie woj, możem jest zaprawdę jeno siepacz i sługa?.. —

Śmieje się kajdaniarz do myśli swej. Podnosi ją ku światłu nędznemu i patrzy w nią krwawemi oczyma.

A w głuchą noc, w ciemną noc posłyszą ludzie, że śpiewa samemu sobie:

— Sławo! Sławo!

Nad szyszakiem moim ze stali lustrzanej latałaś, nad piórami zaramiennych skrzydeł były twe drogi. W mieczu-zbójcy, gdym go z pochwy wydzierał, lubiłaś oglądać oblicze.

Sławo! Sławo!

Tętent kopyt po zeschłym stepie kochałaś duszą, a krzyk mój w wielkim boru nosiły twoje skrzydła promieniste ku odległym plemionom.

Sławo! Sławo!

Dzisiaj wydartą mam paważ i szłom i pas. Zakuty jestem w okowy i na ziemi waruję. Podlejszy jestem od psa, co pod cudzym wzdycha progiem, bo pod własnym leżę progiem, a nikczemniejszy jestem od lisa, bom w żelazach.

Zapomniała o mnie ziemia rozkwitła i zapomniały śniegi zimowe, woda rzeczna, tonie jeziorzysk i leśna cichość.

Zapomniały o mnie kości, mogilnem próchnem zasypane.

Jestem sam jeden, gdyż opuściła mię dusza moja.

A gdybym podniósł głos tak wysoko, jak lata łamignat orzeł, co się w niebie z lotem oczu ściga, a gdybym rozszerzył głos głęboko, aż ku popieliskom przedwiecznym, nikt wołania nie usłyszy, tylko je słyszę ja, sam jeden.

Wróci się pod serce cielesne moje, skąd wyszło, jakgdyby hak z żelaza.

Spojrzyjcież oczy moje w rzeczy ziemskie nieustraszonem wejrzeniem, a nie przeląknijcie się niczego, cokolwiekbyście ujrzały!

Idę odważny do wrót zawartych nieszczęścia mego i pięścią nieustraszoną zakołacę, jakom do wrót starej kontyny kołatał.

Zła moja dola! — rzekł mi wróż.

Wyjdź-że z ciemnej bożnicy, moja zła dolo!

Pokaż się, dolo!

Niechaj cię ujrzą źrenice moje!

Niechaj się tobą nasyci moja zgłodniała myśl. Niechaj cię ujmie dłoń moja chciwa, jakom ujmował zabójczy puinał.

Lecz już się umknął od dłoni mojej rycerski miecz, od boku mego urwał się nocny towarzysz, puinał.

Zła moja dolo!

Ujmę w dłoń młot najemnego nędzarza.

Na długim łańcuchu łez a w wiadrze beznadziei spuszczę się, górnik samotny, w sztolnię czarną, w rozwarty szyb przepaści. Pójdę korytarzami w kamieniu niedoli kutemi.

U boku broni żadnej. Na głowie szyszak pogardy. Z za ramion skrzydła pośmiewiska szeleszczą. Na kościach nic, jeno strzępy poszarpanych łachmanów przepychu ducha.

Nic, jeno w ręce młot, a w oczach płomień.

Nic, jeno w piersiach—samotnego serca łoskot głuchy.

Pójdę, zła moja dolo, do końca.

Zajrzę w komorę tajemną.

Porwę w dłoń wyschłą, w dłoń oszalałą stylisko

młota i będę w czarną ścianę tajemnej komory dzień i noc kuł.

Albowiem w czarnej ścianie, ja sam, zła moja dolo, wrośnięty w kamień leżę.

Będę bił niestrudzenie, aż rozwarte oczy wykuję, aż obuchem zwalę w puste piersi kamienne.

Uderzę samego siebie oczyma w martwe oczy i konającą dłonią pochwycę puste, kamienne piersi. —

VIII.

Słyszy nad sobą znajomy głos:

— Udały...

Zadrżał w sobie, rzekomo ziemia, kiedy ma ogień z głębiny wyrzucić, zakipiał, jako morze od wichru. Głos... Podniesie oczy.

Nad nim Mściw z puszczy. Twarz Mściwa mądra, zimna, posępna.

Rzecze:

— Przychodzę cię nawiedzić, Wdały Walgierzu.

— Witaj, gościu, co godność moją pamiętasz.

— Bogowie z tobą!

— I z tobą, gościu.

— W złej cię nawiedzam doli.

— W istocie, jestem ubogi, gdyż odwróciły się losy moje. Ale siądź, gościu, i spocznij w dziedzinie mojej.

— Nie twoja to już, bracie, dziedzina.

— Czyjaż, o bracie?

— Mojego i twego pana, Wiślimierzowa.

Zapadł w milczenie Walgierz Udały. Pochylił głowę, zamknął powieki. Zda się gościowi, że więzień śpi. Czas mija.

Rzecze Mściw:

— Nadaremnie, nadaremnie trwasz w uporze.

— Trwam.

— Jakież twe życie!

— Żyję.

— Zapomnij, przyjacielu, o tem, co nigdy już, przenigdy nie wróci.

— Jużem, przyjacielu, o tobie zapomniał i twoje imię już nigdy, przenigdy na wargi moje nie wróci.

— Harda twa mowa.

— Harda jest mowa kajdaniarzy.

— Ta to hardość bezrozumna mocno cię trzyma w skoblach i klubach.

— Ciebieby pęta czterykroć mocniejsze nie utrzymały, giermku Wiślimierzowy.

— Słuchaj mię! Potężny jest Wiślimierz. Naszedł przez sługi swe i włódarze dziedzictwo moje w borach. Otoczył tyn mój tynem straszliwym zbroic. Ile w tynie słupów, tyle chłopów przepotężnych wokoło postawił. A w jednej ręce sprawca ich miał kajdany z żelaza, w drugiej dary ze złota, twojego, bracie, skarbu ozdoby. Więc mi rozum męski nakazał przyjąć dary, uchylić czoła. Cóżem miał czynić, powiedz sam?

— Jużeś, zdrajco, powiedział.

Odszedł Mściw.

Snuje samotnik własną myśl, tkankę pajęczą. Spływa na myśli swej w jaskinię wewnętrznej ciemności, jak pająk na nici swej:

— Ach, cóż jest czyn?

Jakże nędzny jest czyn!

Czyn jest nikczemny, czyn jest dostępny dla draba i zbira, któremu sprawca drogę i cel wskazuje.

Król polski niezwyciężony, którego cesarz udusić w żelaznych ręku nie może, zląkł się bosego biskupa. A biskup słaby był, jak gąsię w lipcu, jak mucha na jesieni.

Czegóż się zląkł przepotężny? Chudej ręki bezsilnej, gdy się dźwignęła, oczu łzami zasłonionych, gdy wejrzały... —

Snuje więzień wątłą nić swoją:

— Straszny jest widok cierpienia. Niezwyciężoną jest zemsta krwi przelanej. Łamie krzywda miecz i trzaska w drzazgi puklerz. Boi się Wiślimierz moich bezsilnych rąk, lęka się mojego jęku nocnego, drży, kiedy wzdycham —

IX.

Wolno z wysokości wierzchnicy zstępuje Cudna.

Sama jedna po stopniach idzie. Skierowała cicho kroki w więźniowy kąt. Senne, jedwabne słychać stąpanie, łagodne, jak szelest pajęczej, szkarłatnej pawłoki, co ciało jej królewskie przesłania. Oczy żony wyniosłe, brwi zwiedzione, na ustach niemasz uśmiechu. Spojrzała w oczy nędzarza.

Słowo słychać:

— Łaskę przynoszę.

A gdy ów milczy, groźne pada ostrzeżenie:

— Jeśli będziesz milczał, odejdę. A odejdę nazawsze. Proś mię, a może łaskę uproszoną zleję na czoło twoje.

Dusi się rycerz błotem słów, szlocha w sobie, tarza się w barłogu hańby. Aż, przezwyciężony od długiej nędzy, wymówi:

— Łaski!

— Masz zniżyć głowę do stóp. Na znak.

— Zniżę głowę.

— Wyrzeczesz się przeminionej sławy i snu o sławie.

Spojrzał w nią Walgierz krwawemi oczyma. We wzroku jego nanowo kiścienie ze żmij, w zimnym uśmiechu strzała zatruta ciemierem.

— Cóż mi dasz, — pyta, — za przeminioną sławę moją? Za co kupisz mój ostatni o niej sen?

— Będziesz spuszczony z łańcucha.

— Będę spuszczony...

— Rozwidnią się nad tobą dni szczęśliwe: pójdziesz za kute drzwi bez straży w ogród wewnętrzny.

Pójdziesz sam jeden w przechadzki chłodne, obrosłe krzewem kaliny, któreś rękoma dla mnie sadził. Wspomnisz tam dzieje naszej miłości... Spojrzysz w ogromne niebo świętej Pogody, w puste, szerokie, usłane chmurami, zobaczysz, jak się na krajach ziemi opiera. Będą nad tobą korony drzew... Posłyszysz, jak szeleszczą dostałe trawy w samotni twego ogrodu, gdy go nawiedza cichy wiatr i ciepły deszcz... —

Chichocze Walgierz, śmieje się głucho:

— Posłyszę, jak szeleszczą...

— Straż cię w okowach powiedzie na basztę zamku. Z przeziorów między belkami i z widzierów dachowych ujrzysz głuche, zadumane bory po górach, święte buki po szczytach i szare daleko grzebienie skalnych osypisk. Spojrzysz we Wisłę kochaną, jak spomiędzy lasów, srebrnobiała, kręgiem, półkolem wypływa, jak się u skał falisto zatacza i cicho w puszczy ginie zielonej...

— Cóż ci mam dać za jej widok?

— Oddasz mi, władczyni swej, i Wiślimierzowi, panu swojemu, pokłon powinny. Gdy każemy, pójdziesz, jak wierny sługa i jako włódarz, w orszaku. Będziesz

u stołu pańskiego obficie jadł i będziesz tęgie wino pił, ile wola...

Duma Walgierz głęboko. Chwieje się jego głowa tam i sam.

— Przysięgę złożysz na wieczny czas, za siebie i za syna, gdybyś go miał z poddanki naszej. A będziesz w poczcie sług jeden z najpierwszych. Przed Mściwem z puszczy staniesz i krok trzymać będziesz w orszaku.

Ściska Walgierz głowę swą żelazem oków.

— Proporzec pański poniesiesz i miecz potrzymasz. Strzemię podasz wsiadającemu na koń. I zstąpi na cię łaska pańska. Nie jeden dar cię spotka. Złożysz skarb z darów i z pracy swej, z łupów na wojnie uciułasz mienie. Puści ci wtedy pan osiedle w boru. Będziesz granicy jego strzegł na wzór Mściwa. Jam to dla ciebie uczyniła, ja, Cudna, którą kochałeś i jeszcze w skrytości kochasz. Spojrzyj na mnie dawnemi oczyma, które-m ongi miłowała. Walgierzu, Walgierzu!

Dla ciebie to uczyniłam, przez pamięć twojej miłości. Wypełnij wszystko, co-m rozkazała.

Czy spełnisz wszystko pod przysięgą? —

Przytakuje Walgierz głową strzaskaną od nieszczęścia, a startą i zdeptaną od niedoli.

Mamroce, sepleni, śmieje się, jąka. Szlocha:

— O, duszo moja, duszo moja... Spełnię wszystko, co-ś rozkazała... Wszystko spełnię pod przysięgą...

X.

Przyszedł Mściw z puszczy dla odebrania od poddanego ślubu pokory. A gdy się zniżył i zagiął obcęgi pod spoidła śrub i gdy miał pierwsze rozłamać ogniwa, ujrzał, że oczy Walgierza nie widzą, a 'z gardła bucha szyderczy śmiech. Ciało leżało nieruchomo, wyciągnięte w żelaziech, jakgdyby na miękiem łożu. A z warg się zrywał śmiech niegodziwy, śmiech bezsilny.

Zawołał Mściw:

— Wstawaj z barłogu!

— Nie wstanę, sługo!

— Pójdziesz ze mną w ogród zamkowy.

— Nie pójdę, sługo!

— Szalony, cóż zamierzasz?

— Jeszcze, sługo, nie przyszła godzina moja.

— Zginiesz w barłogu!

— Jeszcze nie przeszła godzina twoja. Jeszcze-m się, widzisz, siłami straszliwemi nie podkopał pod samego siebie i jeszcze-m samego siebie z moich kamiennych ramion, z ramion nieżywych i bardzo zgarbionych nie zwalił.

— Cóż myślisz czynić, obłąkany!

— Będę, sługo, płakał krwawemi łzami dopóty, aż łzy moje z martwego kamienia wykapią ducha wiecznego.

— A więc — przepadnij!

Cisnął Mściw na zuchwalca gniewny błysk oka i gniewnym znakiem ręki skazał go na zapomnienie.

Więc zapomnieli o nim na śmierć ludzie ziemi. Zapomniał o nim potężny pan — i Cudna żona.

Wzgardzili jego imieniem wygasłem włódarze, męże wojenni, czeladź, żołnierze.

Zapomniało o nim sumienie gminnego ludu i zapomniała skrzydlata pieśń rycerzy po ostrych zamkach i zmowa nocna — i wieść szeptana w zaułkach wsi — podanie ślepe a głuche — i baśń daleka, baśń ostatnia, baśń wędrownica, kurzem zasuta dróg...

XI.

Wlecze się długość nocy.

Trwa cisza. Świerszcz jeno, towarzysz jedyny przeklętej doli, niewidzialny świadek bezsennych nocy, skrzypieniem mierzy czas.

Płyną przez ciemność myśli leniwe, ogłuchłe, z wygnitemi oczami. Ponad jeziorem wiecznego rozczarowania wloką się długim orszakiem. Spływa z warg nadaremne westchnienie. Toczy się jęk w dół bez dna.

Obmierzło już szyderstwo, wstręt budzą łzy.

Ostatek wielebnego męstwa, ostatek pracy...

Kruszy się i sypie w proch kamień ducha.

A za kratami głucha noc.

A za kratami wzdycha wiatr.

Świst-Poświst do krat przyleciał... Westchnął... Przeszumiał...

— Świstu-Poświstu... — wzywa ku niemu Walgierz Udały... — Och, wietrze, wietrze!..

Och, wietrze wiosenny, wonny!

Już na mnie przyszedł czas. Zanieś, wietrze swobodny, królowi polskiemu żegnanie moje. Powiej mu w twarz rozgorzałą. Na skrzydła weź żegnanie moje i na stanicę rzuć... Niechaj zaszumi wielka chorągiew nad dumającą głową królową... —

Słyszy Walgierz w nocnem milczeniu szelest kroku. Gniew nim pomiata, że mu ostatni pogwar duszy roztrąca zbir.

Patrzą w mrok z nienawiścią kocie więźnia źrenice, oczy skąpe i podejrzliwe. Badawcze ucho chwyta szept:

— Walgierzu...

Gnuśnie milczy niewolnik. Śmieje się w duszy z szeptu nocnego, czyjkolwiek jest.

— Rycerzu... — pozywa głos.

Milczy kajdaniarz. Przebiegła jego mądrość, jak niewidzialny szpieg, obchodzi wkoło szept, a opasuje go nićmi obojętnego badania.

— Książę!

Ocknął się w piersiach szloch dawny-przedawny.

— Wodzu!

Omdlałe serce wzdycha w nocy:

— A choćbyś była złudzeniem ciemności, witaj, maro, co mię pozdrawiasz...

— Piękny!

— Kto-ś jest?

— Poprzysiąż mi wiarę wieczną, miłość wieczną, a ja wzamian kuny twoje rozłamię.

Szeptane, zimne, przemądrzałe słowo:

— Rozerwij kuny, bym ci uwierzył.

— Dam ci w rękę twój własny miecz.

— Ktośkolwiek jest — daj koncerz!

— Poprzysiąż mi wiarę wieczną, miłość wieczną.

— Ktośkolwiek jest, poprzysięgam ci wiarę wieczną, jeno mię puść.

— Twarz moja jest potworna, a ciało krzywe.

— Gdybyś była potworna stokroć bardziej, niż jesteś, przysięgam ci wiarę wieczną, miłość wieczną, — jeno mię puść.

— Jestem straszna i bardzo stara...

— Pokocham cię, jeno mię puść.

— Jam to jest Wiślimierzowa rodzona siostrzyca. Imię me Zdrada.

— Piękne jest imię twoje, kochanko Zdrado. Obejmę cię uściskiem, — jeno mię puść.

— Jeśli mię weźmiesz za żonę, tem oto dłutem i obcęgami, które Mściw piastuje, odkręcę śruby, rozłamię ogniwa kuny.

— Żono ma wieczna, odkręć śruby zardzewiałe. Oto me ręce pragnące uścisku...

— Przysięgaj na miecz rycerski, na paweż...

— Przysięgam na miecz rycerski, na paweż i na pas, że cię na wieki poślubię, o Zdrado, jedyna, co-ś mnie w ciemnicy nie zapomniała...

Wtedy odemknie siostra Zdrada kluczem ze skarbca wykradzionym zamki klubów, a zardzewiałe mutry odkręci, spojenia zaklepane rozłamie.

Ręka Walgierza w przestworze błądzi...

Popręg żelazny spod ramion spadł, jak pas niciany. Z gardzieli kuna odeszła, jak miękki kołnierz. Z nóg się zzuwają żelaza...

Namacał rycerz w ciemności kurczem miłosnym głowicę wielkiego miecza, co go ze skarbu wykradła kochanka Zdrada.

Na głowę wdziewa swój własny, olbrzymi szłom.

Okrywa w nocy pośpieszną dłonią piersi blachami. Goleń opasze plechą. Wdział rękawice żelazne.

Wstał z ziemi.

Westchnął.

W barach się olbrzymich przeciągnął.

Szepce ku niemu miłosne słowa kochanka.

Pochwycił rycerz prawicą gardziel siostrzycy Wiślimierzowej, Zdrady.

Zdusił ją na śmierć, zanim krzyk wydała, zanim wydała dech. Rzucił targaną od kurczów śmiertelnych w swe legowisko, w łoże boleści, wysiedziane w kamieniu, — z chichotem twardym zwycięscy.

Już stąd odejdzie!

Krok jego dźwięczy i trzaska, kiedy w milczeniu idzie olbrzymi przez mrok w łożnicę małżonki swojej.

Rozdarł kotarę.

Zerwał lampę ze ściany i w oczy śpiącym przyświeca.

Krzyk jego lwi:

— Ocknij się, Cudna, duszo moja!

Porwą się śpiący. Szept białych warg... Dygocą bezsilne ręce. Patrzą w przybysza skostniałe oczy.

— Cóżbyś powiedział, władco na Tyńcu, gdyby cię koniądz Walgierz ze snu twardego przyszedł budzić? Wrócił już Udały Walgierz z wyprawy dalekiej. Obszedł już kroki pracowitemi świat. Był daleko, — och, daleko! Był głęboko, — och, głęboko! Widział już oczyma własnemi wszystko, na własne uszy wszystko słyszał.

Wstań, bracie! —

Uniósł z nad czoła ciężkie szłomu żelaza i straszne jamy oczu odsłonił.

Śmiech jego — ryk tygrysa.

Podźwignął miecz i od straszliwego zamachu rozdarł, rozszarpał drgające ciała.

Jak strzelenie piorunu rozlega się jego krzyk po wnętrzach zamku, leci w sale, krużganki. Ciosy miecza budzą zdrajców na chwilę, by im śmierci błyskanie pokazać.

Pada przed nim gawiedź na twarz.

A inni rozewrą na ścieżaj drzwi, a inni cześć mu wyją, a inni za nim kroczą, jako radosny hufiec poddanych.

Idzie Walgierz wielkiemi kroki przed siebie.

Spadł aż do drzwi podziemia.

Wyrwał je z zawias.

Tam oto, w lochu mogilnym, brat Wydrzyoko gnije. Oczy jego, jako próchno, w ciemności świecą.

Rozerwał Walgierz mieczem więzy. Chwycił współbrata w ramiona.

Szepcą, szlochają...

Wstępują dwaj po stopniach zalanych krwią. Idą w krużganki zasłane trupami, w dziedzińce wiślańskiego zamczyska, w sienie, w bramy, przez mosty, w świat...

XII.

Na wzgórzu, skąd widać zgliszcza tynieckiego zamczyska, stał Walgierz Wdały. Mocny, bojowy koń spienioną żuchwą gryzł wędzidło, a ziemię pod sobą kopytem niecierpliwie bił.

Wiatr wzdymał i szarpał zwisłą grzywę rumaka i wielobarwne pióra rozwiewał bujnie na przyłbicy książęcej. Tuż przy koniądzu siedział w siodle Wydrzyoko. Za nim orszak bojowników zatoczył półkole.

Milczą rycerze, szanują wodza dumanie głębokie.

Głęboko duma Walgierz, patrząc w dymy skłębione, w słupy iskier dalekie.

— Pójdziemy teraz, wiciądzu, — powiada Wydrzyoko, — na nowy bój, na żywot nowy. Nowe w puszczy na wysokościach wyrąbiem toporem polany. Nowe osiedla założym. Nowe gniazda dla ludu gminnego. Nowe zamki strzeliste wzniesiemy ponad cyplami stromych skał...

— Tak, bracie, nowe zamki!

— Uderzymy w ziemię nieżywą, w ziemię jałową, w ziemię płoną, ostrzem narzędzi z żelaza i dobędziemy z jej łona śpiew rozkochanych niewiast, gwar dzieci i wielki hymn mężów, schylonych nad zagonami złotej pszenicy i żyta, co się srebrzy pod niebem. Od naszych czynów, wodzu, poczną się nowe dzieje! Z naszych ramion zstąpi na ziemię pokolenie potężne i piękne. A ono będzie twórcą pokoleń, których pochód nieskończony iść będzie w wieczność pod niebem świętej Pogody.

— Tak, bracie mój!

— A tyś to sprawił. Wielki zamach twojego miecza czcić będą w pieśni nigdy nieumierającej pokolenia szczęśliwe, kiedy się po pracy zejdą na polanach wiecowych. Jesteś wielki, jako ta nieobeszła ziemia, wysoki, jak Tatry-góry...

Cicho, cicho ku zgliszczom zaśmiał się Walgierz Udały. Jego ręka żelazna szarpnęła wodze konia. Miecz w strzemię trzasnął.

Zadumane oczy przebodły dymy i zduszone płomienie. Wyciągnął dłoń:

— Tam moja wielkość... — wyrzecze spomiędzy głębokiego śmiechu. — Do słupa moja wielkość przykuta. Nowe zamki, jakoby gniazda orłowe wydźwignę na szczyty gór, nowe sioła rozsadzę po puszczy, jak ule pszczół, pszeniczne i żytnie ziarno rozsieję po stokach, gdzie rośnie jałowiec, po nizinach, kędy kwitną kaliny...

Lecz już wielkości nie zaznam.

Wielkość moja, do słupa żelaznego przykuta, w tamtych się dymach ogniem przepala. —

— Pójdziemy, wiciądzu, polskiego szukać króla!

— W jakiej też stronie, w którym też boru, z jakimi wrogi wojuje wielki król? Gdzie słychać krzyk skrwa-

wionych pułków, pieśń bojową, wielki wrzask trąb? Z której też strony nadleci echo?

Pójdziemy, bracia, w ciemną głuszę świętej góry i bogi krzykiem zwołamy.

Nad przyszłością pokoleń ich wieczną osadzimy stolicę. Tam-to w kontynie wieszczowej, starej, pod cieniem buków, nadleci ku nam Poświst-wiatr. Nadleci ku nam z końca świata, echo przyniesie, kędy w lasach polski król...

Powiem królowi prawdę głęboką, prawdę, co się tam oto w ogniu pali.

Otworzę królowi oczy jasne... Pokażę królowi duszę kamienną... —

Stefan Żeromski.



Rysunek węglowy KAROLA TICHEGO.

MEWLANA DŻELALEDDIN RUMI.

Były to straszliwe czasy Dżengis-hana, gdy mongołowie niszczyli prastare kultury Azyi i dziewicze kraje Europy. Pierwsza wściekłość jego napadu uderzyła na ziemie leżące za Oksusem—tam krzewiło się najstarsze siedlisko kultury: Samarkanda i Bochara, miejsca zborne uczonych, ksiąg, akademij — sławnych na Wschodzie. Te miasta, zwane w starym języku Moghów targowiskiem umiejętności, uległy pożarom i spustoszeniu — uczeni zakrwawili się pod mieczami zwycięzców, lub rozproszyli się na wszystkie wichry pustyn. Dżengishan wjechał w wielki meczet i kazał rzucić Koran pod kopyta swego rumaka, jak to uczynił w 200 lat potem Mohammed II ze świętemi księgami chrześcian. Nie miał on religii, ani oświaty — jednego ze swych sekretarzy, władcę Mosulu, ściął — za to, że napisał zbyt piękny list. W zbiorze jego praw „Jassa" niema jednego słowa o ludziach twórczych i uczonych. Był to zagrabiciel w znaczeniu najbardziej nieludzkiem.

Wyparta ze swych wielkich siedlisk — kultura chroni się do krolestw pomniejszych na zachód i na południe. Tak na dworze Saad Ben Senghi'ego w Szyrazie tworzy poeta Saadi swój Ogród Różany—a pod rządami sułtana Alaeddina Kejkobad stała się Konja miejscem pielgrzymiem uczonych wszystkich narodów Azyi, którzy tu doszedłszy do ostatnich granic lądu — gdzie tylko morze kładło granicę ich dalszej ucieczce—czuli się przed mongołami w ciszy bez-

piecznej. Alaeddin wybudował i odnowił dziewiętnaście miast, wiele meczetów, klasztorów i kolegiat. Dniem zajęty sprawami państwa, nocą powierzał się pracy uczonej, a ulubioną księgą jego była Alchemia Uduchowień — Gazali'ego.

Z radością też powitał Dżelaleddina Rumi, który z ojcem swym emigrantem długo wędrował—aż w Ikonium zajęli się nauczaniem wiedzy zewnętrznej i wewnętrznej. Mewlana stał się w tem znakomitością, lecz swój prawdziwy duchowy rozwój zawdzięczał dopiero Szejchowi Szemseddin Tebrizi, domniemanemu synowi straszliwego księcia assassinów.

Całą ludność wzburzył Szems Tebrizi przeciw sobie, pozyskał tylko jednego wielbiciela i wybrańca—lecz tym był Dżelaleddin.

Zmuszeni opuścić miasto, błądzili tak mistyk ze swym mistrzem lat dwa po Syryi — i wsparty na tej kolumnie tworzył Dżelaleddin swoje natchnione, dziwne Mesnewi. Na skrzydlach najwyższego religijnego natchnienia, wysoko krąży on nad względnościami wszystkich religijnych dogmatów i form, wzlata nietylko nad księżyc i słońce — lecz ponad przestrzeń i czas, ponad stworzenie i nad anankę, nad praukład, który zawarły dusze z Bogiem, nad samą nieskończoność—gdzie wiecznie modli się do źródła, które ma w sobie—i w roztapiającej się miłości, zapomina na wieki człowieka — dla Tego, który jest zwornikiem wszystkich mrocznych i świetlanych sklepień i tajemnicą łączy i wspiera niepojęte głębiny Jaźni.

Mówią o Mewlanie: zbłąkanych w pustyni mroku i mirażów prowadzi on w ogród istotnej mądrości.

Zmarł r. 1262 w Ikonium, dzisiejszej Konji w Małej Azyi, gdzie dotąd lśni jemu poświęcony ogromny, wspaniały, zielony meczet — tudzież klasztor założonego przez Dżelaleddina zakonu mistycznych derwiszów.

Jego księga dwuwierszów *Mesnewi,* oraz dwa dywany (około 1400 gazel) postawiły go na wyżynach, nietylko obok największych poetów Firduziego, Nizamiego, Saadiego, Hafiza i Attara: jest to księga wszystkich mędrców od Bosforu aż do brzegów Gangesu.

[Joseph v. Hammer: Geschichte d. schönen Redekünste Persiens. Wien 1818.]



Z PIERWSZEGO DYWANU DŻELALEDDINA.

EI AASZIKAN EI AASZIKAN IMRUZI MA IMU SZUMA.

O miłośnicy, miłośnicy! jesteśmy dziś rzuceni, tak jak wy,
w głęboką otchłań, a któż ciemnych pozna jeszcze?
Gdy potop dziejów wezbrany jest falami—przechodzą fale
[jak wielbłądy —
a mroki morskie się nie troszczą, że ginie w nurtach syn
[powietrza.
Widzenie me wybucha płomieniami — lecz żyję wciąż w od-
[męcie fal —
jak ryba dyszeć muszę burzą, lecz moją falą już jest grzech.
Mojżeszu, synu Umran—w morzu się zjaw i uderz laską—
(przynosi mi do głowy stare wino wciąż nowe szały i ma-
[rzenia!)

— — — — — — — — — — — — —

Jest nam świat jak góra Synaj — tęsknim wciąż jak Moj-
[żesz wzejść na wirchy —
a gdy błyśnie żar objawień—kamienista góra pęka w dwoje.
Jeśli chcesz klejnoty widzieć—z nich tu masz łańcuchy gór—
kłak zieleni, trochę słomy stają się wnet kwiatem tu.

Wina nie chcę — upojony jestem samym dźwiękiem szkla-
[nych czar —
winogradniku, o winogradniku—czemu jesteś na mnie zły?
ja uniosłem tobie winne grona—a tyś z głowy mej zasłonę
[wziął.

CHUISZRA DŻUN CHARI DIDEM SUI GÜL BI GIRICHTEM.

Kiedym ujrzał, żem jest cierń —wnet schroniłem się w gę-
[stwinę róży;
kiedym ujrzał, żem jest kwas — wnet zmieszałem się z ne-
[ktarem trzciny.
Kiedym ujrzał, żem jest jad — prędko wlałem w czarę
[lek teriaku;
kiedym ujrzał na dnie męt—zaczerpnąłem źródeł nieśmier-
[telnych.
Kiedym ujrzał, żem jest mrok — na Jezusie gwiezdnym
[wsparłem dłoń mą;
kiedym ujrzał, żem jest grób—otworzyłem bramy wiecznych
[sadów.

— — — — — — — — — — — — —

EI CHAKI KEHI PAJET RISEKI FELEKI BUDI.

Ty, którego opyloną nogę ogląda Niebo z zawiścią —
w prawiekach dusza ma i twoja były tylko jednem.

W domu malarza chińskiego widziałem cudny obraz,
co z lic aniołów i ludzi zaczerpnął ich duszy i krwawień.

Wiele słów prawdy spoczywa wśród ukryć nocą,
wiele kolumn ognistych zabłysło w mrokach zwątpiałym.

— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

O Szems Tebrizi, w twych barwach słonecznych powstaję —
wprawdzie umarły jestem, lecz tyś mój wkrąg śpiewny Ocean.

NEWBEHARA DŻANI MAJI DŻIHANRA TAZE KUN.

Wiosną jesteś duszo ma — więc do życia odnów świat —
uczyń łąki znów świeżemi—w zagajnikach róże uczyń nowe.

Mroczy się cmentarny las—żaden słowik tu nie śpiewa —
wiatr od morza przestał dąć — morze, chmury i wiatr
[wschodu uczyń nowe.
Niech wśród jodeł lilia lśni i wymową srebrną nuci wolność—
kwiaty, pszczoły i motyle niech tu lecą—ty pasieki w lasach
[uczyń nowe.
Niech zaszumi dębów chór, zakołyszą sosny w takt,
i turkawkom z góry Karmel—ich majowe pieśni uczyń nowe.

Z krzewin leśnych dymi pył—rosy białe lśnią w pokorze,
na mogiłach pnie się bluszcz — idź, modlitwy serca uczyń
[nowe.
Wszak miłości pragną róże, a piorunów ciemne góry —
wieszczu wzleć—skrzydła zrzuć—i wyżyny natchnień uczyń
[nowe.
Już błyskawic słowo grzmi—moschus chmur użyźnia ziemię—
z mrocznych burz ty świętym wstań — nawet niebo w sobie
[uczyń nowe.

Kwiaty złocą wniebowzięte, księżyc wschodzi ponad toń —
ty w świątyni ponad stawem błądź i milczenia w sobie uczyń
[nowe.
Piorun bije w nieba dom — i ten huczy jakby dzwon —
ty muzykę wielką bogów — nawet bogi w światłach uczyń
[nowe.
Tajemnice już zamierzchły — gnije bagno ludzkich dusz —
alchemiku boży wstań — sny młodości zadżumionym uczyń
[nowe.



Z WTÓREGO DYWANU DŻELALEDDINA.

MECHASSIB EI JAR MIHMANDAR IM SZEB.

Nie śpij druhu nocy tej—tyś jest Duch, a myśmy chorzy—
Nocy téj.
Odpędź z twoich oczu sen — tajemnica się rozwidni —
Nocy tej.
Tyś jest Jowisz na niebiosach— wśród gwiazd krążysz fir-
[mamentu —
Nocy tej.
Nad otchłanie Orła pędź, bohaterem jest twój duch —
Nocy tej.
Prawd lodozwał Cię wydźwignie, zazielenią się ruiny —
Nocy tej.
O, jak cicho — inni śpią — ja i Bóg jesteśmy sami —
Nocy tej.
Jaki szum—szczęście wschodzi—prawda skrzydłem opromie-
[mienia—
Nocy tej.
Gdybym przespał aż do ranka—już bym nigdy nie odzyskał
Nocy tej.

Targowiska już ucichły—patrz na rynek gwiezdnych dróg—
Nocy tej.
Lew i Orion, Andromeda — i Merkury krwawo lśni —
Nocy tej.
Wpływ złowieszczy miota Saturn, Wenus płynie w złotym
[dżdżu
Nocy tej.
Zamilknięciem wiążę język — lecz ja mówię bez języka —
Nocy tej.

MERD CHODA MEST BUD BI SZERAB.

Mąż Boży pijany jest bez win —
mąż Boży syty jest bez mięs.

Mąż Boży w wiecznem jest zdumieniu,
mąż Boży trwa bez snu.

Mąż Boży nie jest wiatrów pył,
mąż Boży nie jest mróz ni żar.

Mąż Boży jest w chałupie król,
mąż Boży jest w pustyni skarb.

Mąż Boży jest świątynią posłuszeństwa,
mąż Boży jest grodem dobrych czynów.

Mąż Boży w niewierze jest wierzący,
mąż Boży nie zna cnót ni grzechu.

Mąż Boży jest uczonym w Bogu,
mąż Boży uczonym nie jest ksiąg.

Mąż Boży jest morzem niezmierzonem,
mąż Boży dżdżem jest bez nawalnic.

Mąż Boży głęboko jest ukryty —
mój synu! znajdź go, idąc w mroku.

DŻIHAN JABIM WE GHAIRI MA CHIALEST.

Znalazłem świat, reszta jest niczem —
tu jest raj — gdzieindziej grzech.

Bądź upewniony: posłuszeństwo
poza tą ścieżką wiedzie do zguby.

Nie nie ogarnie głębin świata,
gdzie nawet wady są cnotami.

Wszechbyt jest Boga czystym odblaskiem —
lecz oko twoje miesza widzenia.

Ze szczytów głupstwa w dal mądrości
przechodzi miłość, znika człowiek.

Dusza zwolniona z pęt omamień —
w niepodobieństwa żyje zamku.

Tam odnajduje biegun świata —
i tak zakańcza spór od wieków.

HER KI RUCHSARI TU BINED BEGÜLISTAN NEREWED.

Kto ujrzy Twoje lico, nie tęskni za ogrodem róż;
kto z Ciebie mękę ma — po leki ziół nie idzie.

Kto w mroku twej komnaty przepędzi z Tobą noc —
oglądać tulipany i wasyliski ten nie idzie.

Gdy znalazł Chizer rubin kochanki ust,
do innych źródeł życia po wieczność już nie idzie.

Tonąc w miłości dżdżu, chcę, by mnie zabił grom —
lecz zmarły człowiek mój przed ołtarz już nie idzie.

Mężowi nieprzystojna trwożyć się błysku lanc —
kto trwożnym jest, niech w boju wir nie idzie.

Gdy nie ma nadziei odnaleźć Ciebie w raju —
niechaj miłośnik sam w Edenów mur nie idzie.

Z przed wieków miłość Boża stygmat wyżegła mi —
tak, że ma dusza już za Tobą w pomrok idzie.

Śpiewałem, Szems Tebrizi, pustyni Twojej hymn:
król magów jest szaleńcem, kiedy za gwiazdą swą nie idzie.

MEN AN RUS BUDEM KI ASUMAN NEBUD.

Jam istniał, gdy nieba nie było — i wśród wieczności
[pyłu istnienia nie było,
gdy oprócz Druha mego aureoli i Boga z nad głębin
[nikogo tam nie było.
Imiona są stworzone z mych warg w czasach, gdy nas
[i mnie nie było —
i już modliłem się, gdy w łonie Maryi jeszcze Mesyasza
[nie było.

Milując poznałem krzyż i chrześcian, lecz tego, com szukał,
[na krzyżu nie było —
w pustelni żyłem wśród klasztoru, gdy jeszcze zakonu i pie-
[kieł tam nie było.
Z wielbłądem szedłem do Kaaby — gdzie również proroka
[młodości nie było —
jadąc do Herw i Kandahar marzyłem o tem, czego na świe-
[cie nie było.
Wdzierałem się na górę Kaf, gdy jeszcze Anka widać
[nie było —
zapadłem siedem niebiosów w głąb', na siedmiu ziemiach nieba
[i gwiazd nie było.
Pytałem u bram losu o miłość mą — i wyrok brzmiał, że
[nigdzie jej nie było —
jasnowidzeniem szedłem w dal — lecz oprócz mroków niczego
[tam nie było.
W Gehennę serca zapadł wzrok — i tu z przed wieków
[Jego lśnienie było —
zdumiony go ujrzałem, zaiste! choć w Nim atomu jednego
[nie było —
i oprócz Szems Tebrizi maga — nikogo w równem natchnie-
[niu nie było.

ADŻEB AN DILBER GÜDŻA SIBA SZÜD.

Powiedz mi, gdzie Piękny jest? Ten wsród burzy górski cedr—
[Gdzie on jest?
Kiedy płomień świecy łka, On beze mnie w nocy sam —
[Gdzie on jest?
Straż pytalam miejską w bramach: — Czy z wielbłądem szedł
[w pustynię?—Gdzie on jest?
I w winnicy błagam najemników: — Pięknych Książę, czy nie
[wiedzą, — Gdzie on jest?

W lasy drzew prawiecznych wchodzę.—Mój miłosny jeleń
[szukał wody—Gdzie on jest?
o północy wstałam we śnie—i przechodzę wśród upiorów—
[Gdzie on jest?
Z moich oczu płynie rzeka—i zapada w morze ciemne —
[Gdzie on jest?
gwiazd się pytam i miesiąca—czy On widzi je beze mnie—
[Gdzie on jest?
Mędrców pytam i podróżnych—w tłumie ludzkim jego niema—
[Gdzie on jest?
o, powiedz mi, Szems Tebrizi! Ty, będąc słońcem, wiesz
[wszystko — Gdzie on jest?

ID AMED ID AMED WE AN BACHTI SAID AMED.

Święto idzie, święto idzie, — szczęście idzie tu!
trąby weź, hymny graj — księżyc idzie tu.

Święto idzie, miłośniku—slyszysz dźwięki sfer?
z najwyższego tronu nieba Zbawca idzie tu.

O pieśniarze, o tancerze szukający nowych gór —
przez otchłanie tej Gehenny zamek szczęścia idzie tu.

Wielu mędrców wszak z podziwu nagle ciemnych stało się,
gdyż nieznany widm korowód z napowietrza idzie tu.

Czarnoksięską mocą poi i w proroków zmienia nas —
różdżką świętą tego Władcy z mogił ziemnych idziem tu.

W korowodzie bohaterskim widm krążących, gwiezdnych dusz —
nieskończona Mleczna Droga — nad otchłańmi idzie tu.

Bądź radosny, tajemniczy. Tajemniczy — wolny bądź —
wsiane jedno ziarno szczęścia — całem zbożem idzie tu.

Wśród milczenia—jako lilie, wśrod umartwień jako głaz—
duszę swoją daj wieczności — zamek boży idzie tu.

GEH SAF BUDEM GEHI GHISZ AN NIS CHOSZ WE IN NIS CHOSZ.

Jam lśniący — mgławy, śnieżny—czarny jak demon:
Dobrem jest tamto i to.
Jutrznia—gryf nocny Simurg—zwierciadło Maga Salomona:
Dobrem jest tamto i to.
Pył—wicher—morze—wulkan—miłość—gród nienawiści:
Dobrem jest tamto i to.
Lampa—mogiła—skała—wosk topniejący:
Dobrem jest tamto i to.
Księżyc—mroki—poranek—gromnica ponad zmierzchem dusz:
Dobrem jest tamto i to.
Wciąż zmieniam barwy, wciąż miejsce—umieram, płynę
[i wschodzę:
Dobrem jest tamto i to.
Z grobu mój sztandar i trąba — w niebiosach rozpięty mój
[namiot:
Dobrem jest tamto i to.
Człowiek mój zmarłe jest zwierzę, zwierzęta mam z Diwów [1])
[— Aniołów:
Dobrem jest tamto i to.

[1]) Duchy złe.

Słuchają mię Hury i Peri[1]*—sam jestem wiecznie w pustyni:*
Dobrem jest tamto i to.
Z pokorą serca wyznaję — jam ten, co idzie wśród mroku:
Dobrem jest tamto i to.
Mówię to z słońcem nad głową: rozjaśnij się—w mrok
[zejdziesz znów!
Dobrem jest tamto i to.

MAHI HEFTÜM ASÜMANEM ËI PÜSSER BIDAR BASZ.

Jam księżyc raju siódmego—jam lampa najwyższego tronu—
Czuwaj Młodzianie!
Dusza ma błądzi w labiryntach, z mroków i jaśni ja mękę
[mam—
Czuwaj Młodzianie!
Rozjarzam wam mój żar rubinów—ja trwam, a otom już
[przeminął w wieki —
Czuwaj Młodzianie!
Jam katarakta wód duchowych — i odźwierciadlam ziemię
[niepowrotnie —
Czuwaj Młodzianie!
Wróg mię oblega czarnym obozem — ja lampy świecę z mi-
[łości baszt —
Czuwaj Młodzianie!
Miłość rozwiera bramy niebiosów—a jam zamkniętych wieżyc
[Muezzin —
Czuwaj Młodzianie!
Księżyca pustka mym ołtarzem — woń jego snów ogrodem
[moim —
Czuwaj Młodzianie!

[1]) Hury i Peri—piękności piekła i oblubienice raju.

Mówiłem ci jak upiór w błysku milczeń: nic jaśniejszego
[niemasz nad ten mrok mój —
Czuwaj Młodzianie!

DANI SIMÁA DŻI BUD SAUI BELI SZÜNIDEN.

UWAGA. Mistyczny taniec czyli korowód (simáa), w którym derwisze obracają się każdy dokoła siedzącego spokojnie szejcha, — uzmysławia taniec mistyczny gwiazd, podczas gdy towarzyszący flet wyobraża muzykę sfer.

Ten mistyczny taniec znany był już grekom, jak o tem świadczy napis na grobie pewnego, w samotrackie misterya wtajemniczonego młodziana. Szejch pośrodku wyobraża słońce lub wyższy jeszcze ośrodek systemu gwiezdnego. Muzyka nie jest oszołamiająca i dzika — raczej smutna i łagodna, która przez jęki fletu wyraża skargę stworzenia oddzielonego od Twórcy, kropli od morza, energii świetlanej od słońa.

Nucone przy tem wiersze tchną najczystszą miłością i nauką sofich, która świat ukazuje jako niebyt, zjawisko, a Boga jako jedyne istnienie, do którego pielgrzym dochodzi tylko przez najwyższe wyrzeczenie się i ofiarę.

Wiecie, czem są korowody? to w pradoli i w przedbycie
w zgromadzeniu cieniów wyrzec: tak! za dusz miliony.

Wiecie, czem są korowody? zniszczyć siebie, tworząc Boga,
i do raju sięgnąć, co nie minie, wśród niebytu.

Wiecie, czem są korowody? na drodze miłości
toczące się serce od bramy wiecznej do bramy.

Wiecie, czem są korowody? walką dusz olbrzymią,
gdzie myśl jak ptak krąży w ulewie krwi własnej.

Wiecie, czem są korowody? obłęd patryarchy,
który Józefa gzło niósł po drabinie z niebiosów.

Wiecie, czem są korowody? kwitnący kaduk Mojżesza,
którym zniszczył on magię Faraona bytu.

Wiecie, czem są korowody? bożą tajemnicą,
która bez dróg prowadzi po górach pustyni do Boga.

Wiecie, czem są korowody? jako Szems Tebrizi
widzieć raj oczyma duszy z najgłębszej otchłani.

BIA — BIA — KI TUJI DŻANI DŻANI SIMÁA.

O przyjdź, przyjdź! Ty jesteś duszą, duszą korowodu,
o przyjdź, Ty jesteś cedrem w wielkim lesie korowodu.

O przyjdź, gdyż nie był nikt jak Ty i nie będzie nigdy,
o przyjdź, gdyż równego Tobie nie ujrzy oko korowodu.

O przyjdź, słoneczne źródło bije w Twoich mrokach,
tysiąc jutrzenek tańczy rozświt korowodu.

Tysiącem hymnów mówi Tobie harfa korowodu,
ja tylko słowo powiem milczeń korowodu.

Po górach labiryntu idziesz z nieznanego świata,
gdyż ponad śmierć i nad życie jest mrok korowodu.

Wzniesionym jest wysoko gmach siódmego nieba,
lecz ponad gwiazd krużganki jest wschód korowodu.

Słoneczny pył, gdy nasycony blaskiem jest promienia,
zaczyna drgać milczących głębin tańcem korowodu.

O przyjdź! tu jest miłości wulkan, przyjdź, o Szems Tebrizi!
zostanie ciemnym, kto w raj nie wstąpi świateł korowodu.

SERI BER AR KI MA BAREWIM BE SERI ISZK

Głowę wznieś — my chodzimy po szczytach miłości —
jedno mgnienie iść będziemy w błękitach miłości.

Śmierć mówiła do mnie o wiecznej miłości —
o winie bożem, które topi śmierć falą miłości.

Łańcuch bytu ja zerwałem wszechmocą miłości,
w święto mroków urodziła mię matka: Duch miłości.

O, zapytaj miłość, jakby ujść miłości —!
bój—do światów aż zgaszenia — jest życie miłości.

Pojawiają się widma na niwach miłości —
od ich cieni dyamentowych lśni zorza miłości.

Ciało swoje daj jak złoto męczarniom miłości —
złoto pył jest, gdy nie zużyć na zasiew miłości.

Powiem ci, dlaczego Morze ciemnościami bluzga?
gdyż je mocą swą potworną mży księżyc miłości.

I dlaczego z ziemi lepił Demiurg hurysy?
gdyż jest ambrą przepojona tchnień słońca miłości.

I dlaczego niebo wiecznie po otchłaniach krąży?
magnetyczny sen je uwiódł gwiaździstej miłości.

Powiem ci, dlaczego wodę ten wiatr miesza w wiry?
gdyż głębinę chce zamienić w stuliście miłości.

I dlaczego mrok wieczorny zwiesza nad ziemią zasłony?
by ofiary miłujące skrył namiot—bezbrzeże miłości.

Tajemnicę wam rozgłaszam sfer, planet, żywiołów,
gdyż straciłem już moc moją w turniejach miłości!

DŻI KARISTAN KI DARI ENDER IN DIL.

Jakąż pracownię nosisz w sercu?
jakie bożyszcze lśni w twem sercu?

Nadeszła wiosna, czas zasiewu —
któż wie, co ty urodzisz w sercu?

Zasłona kryje świat zewnętrzny,
lecz nam rozchyla magię w sercu.

Tulacz swe nogi wsparł na kałuży,
lecz jego wirch bez chmur jest w sercu.

Gdyby nie było marzeń nad ziemią,
nie lśniłby wówczas księżyc w sercu.

I gdyby nie był los mój władztwem Króla —
nie miałby Bóg zamczyska w sercu.

Jest to mityczna niezbrodzona puszcza,
gdzie łów szatanów odbywa się w sercu.

Tu morze myśli bije fal głębiami,
fosforescencye i Lewiatan w sercu.

Zamilknę, gdyż myśl nie znurkuje moja
tych krajobrazów w mojem własnem sercu.

ËI AASZIKAN ËI AASZIKAN ES AALEM BI DŻAN AMEDEM.

Miłośnicy, miłośnicy! przyszedłem ze świata dusz —
duszo, ugnij się — ja szukam kochanka mojego.

Rozsądni, rozsądni — gdzież ja zabłądziłem?
o, nie pytajcie mnie, gdyż nie przychodzę z pamięcią.

Wiedzący, wiedzący — gdzie blask tajemnicy?
wiedzącym jestem ja, gdyż zna mnie Ten, co wie.

Wędrowcy, wędrowcy — goniąc moją gwiazdę,
padam i wstaję znów, w ciężarze mych skrzydeł nadchodzę.

Oczyszczeni, oczyszczeni! ogień uczynił mię
jak eter lekkim—wlatam przez bramy serc.

Wino darzący, darzący! zabierzcie ode mnie to wino,
gdyż jako Żar Ptak jestem zakochany w Mroku.

Bliźni moi, bliźni! oh, odejdźcie precz!
jestem stygmat bólu w otchłani Wiecznego.

Magowie, magowie! patrzcie, że idę na Wschód —
i tam nad duszami rozbłyskam księżycem mej Wiedzy.

MEN BENDËI SULTANEM SULTANI DŻIHANBANEM.

Jam rab jest Padyszacha, jam świata Padyszach. —
odkąd ujrzałem blask, idę zdumiony i błądzę.

To mówię jak papuga, to śpiewam jak Żar Ptak,
jestem nadczłowiek i zwierzę najniższe wśród morza.

Jam duch, jam cisza, jam nawałnic grom —
Archanioł słońca, mitycznego króla syn.

Jam raj — i piekieł czarownice wraz —
jam lśnienie boskie—wszechludzkości grzech.

Jam góra i doliny—gwiazda, moczar zły —
jam budowniczy sfer, żywiołu ślepy gniew.

Ja tworzę ranny świt, zagaszam słońce —
jestem zewnętrze zjawisk, i zjawisk tajna jaźń.

Jam światło magów wiodące wielbłądy i króle —
ja z planet zmarłych tworzę życia hymn.

W milczeniu noszę wiar ognistą tarczę —
jam wschód zwątpienia, jam hydry tysiąc głów.

Ja prawdę znam—i wśród jej kolumn błądzę —
ja mrok, rosienie gwiazd, jam cmentarz—grobów pył.

Jam wiekuistnie sam i nigdy znajść się nie mogę —
jam dawno zmarły—tu, jam nagi—w masce.

Ja nie wiem—lecz mój Duch jest mędrcem — ze mnie —
jam tułacz i Mekki chram—jam Szatan— król Salomon.

Jam żył wraz z Noem, zamknąłem się w Korabiu —
i jam potopem dżdżył—tonąłem w burzy.

Jam miłość — kochanek mroku, upojony tajnią —
jam ziemia obiecana—mrący w pustyni lud.

Ja walczę—i poddaję się w moment tryumfu —
jam Faraona wróg—lecz i Mojżesza.

Ja Mag i żebrak, rana i strzała w niej —
rzucam się sam w otchłanie, i wyjść już z nich nie wydołam.

Jam w lesie, gdzie są święci—i Chrystus w lupanarze —
dźwigam okowy zła — ja Prometeusz!

Jam światłość mroków, skrzydła mam ćmy—spalone.
jam sieć—i pająk—i muszka—i męczarnie.

Jam Samum, Morze Martwe—blask i mrok w pustyni —
jam potępieniec, Czart — jasnowidzący w piekle.

Jam król haremów i żebrak w noc wichrową —
ja zmarła wieczność, co siebie już poznała — —

nie było mnie, nie będzie nigdy — —
jestem Twórca.

HU SENEM BER KUDZIAM HER SZEB SI DIL HU SENEM.

Do nieba wołam każdą noc — ze serca Hu!
wieczności Boga pełen krzyczę: Ja Hu! Men Hu!

Każdego ranka jutrznia—w nocy księżyc wschodzą tu —
do słońca, ziemi śpiącej i księżyca wzywam: Ja Hu! Ja Hu!

Na najdrobniejszej z ros zakwita promień Tajemnicy —
ja grucham jak turkawka w lesie — grru!

Gdy w sercu Bóg—jest więc Bóg ze mną—jam w Bogu;
Boga ujrzę, gdy wejdę do wiecznego snu.

Ponad nicości wodami tworzy mię wiecznie Bóg —
On się odzywa we mnie: Jam jest, Jestem: Ja Hu! Men Hu!

W mej duszy mam wyryte złotem imię Boże —
jam pieniądz Boga i dźwięczę wam: Ja Hu!

Za Szems Tebrizi kto idzie, choć ciemny jest jak księżyc,
rozświeci noc—otchłanie mroków blaskiem tym: Ja Hu! Ja Hu!

ËI AASZIKAN ËI AASZIKAN MEN AASZIKI DIRINE EM.

O miłośnicy, miłośnicy, miłuję długo.—
chóry zbawionych, błogosławieni—miłuję długo!

Nie było raju ni Adama—nie było wieków:
istniałem już — ja smok ogniowy — miłuję długo.

Tworzyłem się lat siedemkroć tysięcy —
żyłem w pralasach, idąc w dal: miłuję długo.

Gdy żar komety wśród ciemności mknął —
nie istniał nikt prócz moich snów — — miłuję długo.

W noc przeznaczenia, gdy duchy rzekły: tak!
ja byłem pierwszym świadkiem ich—miłuję długo.

Jam przeżył dzieje Zendy i Koranu, mnie
zmartwychwznosił Jezus Pan: miłuję długo.

Nim Mohammed otchłanie zmierzył koniem —
jam zeszedł już z siódmego raju gór: miłuję długo.

Wy, co na skrzydłach swych dźwigacie tron —
podnieście wyżej go, o, cherubimy! miłuję długo.

Więc, śmierci, wyznaj, że nadszedł już Majestat,
co ukrzyżuje mnie na tchnieniu gwiazd: miłuję długo.

Wodzem upiorów idę przez bór życia —
i wchodzę na ścieżynę prawd: miłuję długo.

Matki cztery mam—ojców dziewięć mam —
przeznaczenia księgi tworzę—duch: miłuję długo.

Powiedz Tebriziemu, że przyszedł Greczyn —
i mówi jak Mewlana wiekom w śmiech: miłuję długo.

O miłośnicy, miłośnicy! któż jest Szems Tebrizi?
on światłem, co w proroku błyska w dal: miłuję długo.

AMED BEHAR ËI DOSTAN MENSIL SUI BOSTAN KÜNIM.

Wiosna jest — idźcie, przyjaciele, do sadu —
wy obcy rajom — wniknijcie do wnętrza tych wrót.

Chcemy dziś latać, jak pszczoły wśród róż i akacyj —
będziemy budować nasz pałac z wielu komórek jak ul.

Tu huczy grzmot: nie grajcie już więcej w ukryciu —
niech pękną trąby z nadmiernych symfonij miłości.

Niebo chmurzące tu krąży — obłąkani — jam król wasz —
przynoszę duszę mą w ofierze dziś miłującym.

Łańcuchy rwać! niech każdy z kuźni olbrzymiej
wykuwa słońce nad światem w ogniach zadumy.

My żary serca rozdmijmy miechem w wulkany —
i wszystkich mędrców świata weźmy za czeladź do kuźni.

My rzucim ziemię w otchłanie, w nowe niebiosa
zwrócimy biegun świata: zenit nadirem.

W milczącej sumie mądrości stworzymy owo Jedyne,
któremu służyć będziemy, nad gwiazdy krążąc wśród Duszy.

ISZKA TÜRA KAZI BEREM KI ESZK SICHEM HEMDŻU SANEM.

Miłości, uklękam przed Tobą i płaczę w mroku jak bożki —
idę z pustyni bezbrzeżnej, gdzie tylko są raje męczarni.

Miłości, mityczny posągu! Ja jestem Tobą, Ty we Mnie —
wodospad, groza niewiadoma, Ty świt i strącenie do piekieł.

Ty jesteś wymowa fantazyi, a w życiu milczenie —
Ty — bezrozumna, uparta, ślepa i niewierząca!

Władczyni królów, która tronujesz na gwiazdach duchowych,
bez śladu na powierzchni, wulkan w głębinie.

Ty wszystko w niczem! magowie Ci służą wszechmocni,
gdyż ich uwalniasz od zgonu, jak rój meteorów.

Tyś kwiatem róży—wampirem, górą i chmur błyskawicą—
obrazie tysiąc-zmienny jedynego pędzla.

Kto się zbliży do Ciebie — duszę oddaje za Ciebie —
w męce powiadam: idź precz!—lecz zostań! mówię w pokorze.

ocą w mem uwielbieniu wzlatam na skrzydłach aniołów—
w południe chciałby mój gniew karać to słońce piekłami.

Wszechświat jest w Twojej niewoli—nie wspomnę mrocznych
[przywidzeń —
które nisko w Twej głębi płyną, rozpiąwszy sztandary.

Za każdem tchnieniem serca nowe przybliża się widmo —
a dusza przed niem drży, jak w starem zamczysku pacholę.

Zamilknę, aby świat zmarły nie powstał z mogił milczenia—
w raz inny powiem nie mniej—lecz więcej też nie wypowiem.

MA TADŻI SERIFRASI HEME CHALKI CHUDAIM.

Jesteśmy aureolą nad narodem Bożym —
myśmy książęta są światów i pustyń.

My boży świt, w którym sam płomień zagasa,
my źródło życia mroczne, wyjące w otchłani.

Jesteśmy — nas niema — i będąc, jesteśmy nie sobą!
my wędrownicy — skarb — droga i karczma rozstajna.

W świętym niebycie tworzymy, mrąc — musimy przetrwać —
królować nad nicością — w mrokach męcząc — kochać.

JA REBB DŻI JAR DAREM SZIRI SZIKAR DAREM.

O Panie, jakiego lwa, jakiegoż druha mam!
w mej piersi on poluje na tysiąc orłów.

Gdy uciekałem raz, ścigany falą miłości,
słyszałem krzyk: nie ujdziesz przed spełnieniem losu.

Księżyca pytałem w mroku o mój księżyc —
rzekł mi: ja przed nim zakryłem się chmurą tęsknoty.

Złocił się świt i wzeszło słońce krwawe, —
nagle ujrzałem w niem ranę z jego strzały.

Zaszumiał wicher i gnał jak pogoń piekła w pustynie
i leciał za nim jęk: zaklęte mam serce od czarów.

W morzu odbijał się wulkan — i tworzył razem to widmo
z lodowych brył, nieugaszalne ogniem —: myśl szatana!

Milcz, nieme serce z wyciętym na wieki językiem —
— Chcę to napisać! — mówi. — I wstyd mi za me serce.
— — — — — — — — — — — — —

I cóż ja ujrzę w żywiołach? żyjąc w zamku bożym
i po winnicach błądząc, z mroków piję wino.

DER DŻIHAN GISI AASZIKI MEST EI MUSULMANAN MENEM.

O ludzie wschodni! miłością upojony w tym wszechświecie
[jestem,
poganin i wierzący—pijany życiem mnich—jam jest!

Jam nieba tron od pyłu aż do Plejad,
pomyśl: od wstrętu do roskoszy drabiną tą jam jest.

Mahomet na dwa strzały z łuku stał od tronu Boga —
jam boży tron—pra-słowo Jana, Wedy i psalm—jam jest!

Jam fetysz gwiazd, Golgoty krzyż—Baal i Dagon —
jam czarny aerolit—i, gdzie ofiary się zarzyna, chram —
[jam jest.
Na siedemdziesiąt sekt i dwie dzieli się gałąź wiary —
lecz jeden pień—wierzącym co trwa u drzewa stóp —jam jest.

Zrozumiej ogień, powietrze, wodę, ziemię —
wodą, powietrzem, ziemią, ogniem—i nadto coś—jam jest.

Jam kłamstwo przybite na krzyżu wiar, jam ciężar ziemi,
jam zło przeklęte—idący wśród wyzwoleń duch—jam jest.

Z najgłębszych piekła zim — najwyższy żar płomienia,
raj niewyśnionych snów, niszczyciel gwiazd—jam jest.

Na ziemi tułam się, z chmur skrzydła wlokę w otchłani —
człowieczy ból, aniołów hymn, szatana myśl: jam jest.

Jam nieświadomy—i znany tylko mnie—o, skończ męczarnie!
gdziekolwiek idę —jestem duszą. — Przeminie świat: jam
[jest.

EGERET MURAD BASZED KI NEMIRI WE BIMÄNI.

Gdy nie chcesz umrzeć — lecz trwać chcesz: zerwij ze świata
[ludem,
wyrzeknij się ciała, i duszy, i serca wyrzeknij się z trudem.

Wyrzeknij się wiary, niewiary, zemst i umiłowań —
nie patrz na gwiazdy, co płyną wśród żałób i pochowań.

Wyrzeknij się miłości i twego istnienia —
swą piersią nie oddychaj, lecz żyj z Mrocznego tchnienia.

Gdy siemię róży zamiera w cmentarnej pustce ziemi —
powstaje z tej nicości kwiatami krwi wonnemi.

I kłos ryżowy wschodzi, niosąc swe ziarna w dani
ptakom i ludziom i niebu i czarnej bagnistej otchłani.

Fakirze! jeżeli Jaźni jesteś miłośnikiem,
zapomnij o mnie — idź w dale, nie pomnąc o nikim!



TŁÓMACZYŁ I TWORZYŁ Tadeusz Miciński.

YSEULT O BIAŁYCH DŁONIACH.

OSOBY:

KSIĘŻNA YSEULT O BIAŁYCH DŁONIACH, wdowa po Tristramie z Lijones.
BISKUP z Tamis.
MESSIRE KAEDIN.
KURWENAL.



Scena przedstawia wielką salę dolną w zamku Arundel. Ściany są pokryte czarnemi chustami, drzwi zasłonięte draperyami. Około głównego wejścia stoi zbroja Tristrama z Lijones z czaszką ludzką w helmie i z przytwierdzonym do prawej rękawicy ciężkim toporem wojennym. Jedno z okien jest otwarte; przed niem siedzi na krześle z poręczami Biskup. Messire Kaedin chodzi niespokojnie po sali.

BISKUP. Nie znam księżny.

MESSIRE KAEDIN (zatrzymując się). Naprawdę? Przecieżeście ją chrzcili.

BISKUP (z gniewem). Odpowiedź godna was. Zamknijcie okno. Br... zimno w tym przeklętym zamku.

MESSIRE KAEDIN (zamykając okno). Zkąd ten nagły gniew?

BISKUP. A na świętego Jerzego! w tym zamku czuć śmierć. Te czarne zasłony, i ta zbroja w kącie, i ta

cisza... Rzekłbyś, że ktoś kona w sąsiedniej izbie. Nie cierpię śmierci.

MESSIRE KAEDIN (śmieje się).

BISKUP. Śmiejesz się? Dożyj lat moich, to się z śmierci śmiać przestaniesz. Tak, to lekko umrzeć w bitwie, w szczęku oręża, wtedy, gdy się myśli tylko o tem, żeby innym śmierć zadać. A widziałeś ty kiedy trupa pod całunem, nieruchomego trupa, na którego twarzy płachta się zagina, tworząc jakby nową białą twarz bez wyrazu? Ręczę, żeś jeszcze nigdy nie myślał o tem, iż może nadejść chwila, gdy do niego będziesz podobnym. (Widząc, że Messire Kaedin stanął przy oknie i z zajęciem patrzy na podwórze,—głośniej:) No — i czegoście mię tu przywlekli?

MESSIRE KAEDIN (odwracając się). Przyjechaliście dobrowolnie.

BISKUP. Dobrowolnie, dobrowolnie... Miałem z sobą jednego pachołka z kijem, a wy pięciu rycerzy w pełnej zbroi i to nazywa się dobrowolnie.

MESSIRE KAEDIN (wzrusza ramionami).

BISKUP (ze wzrastającym gniewem). Co mnie obchodzą wasze spory i kłótnie? Wy chcecie pomocy Rogera z Parmenii przy waszych gwałtach i grabieżach, a ja mam namawiać siostrę waszą do ślubów powtórnych. To nawet nie przystoi dostojnikowi kościoła. Stan wdowi jest błogosławiony i święty, pisze, pisze... (bardzo prędko) św. Paweł w liście do Koryntyan.

MESSIRE KAEDIN. Dałbym szyję w zakład, że tego św. Paweł nigdy nie napisał.

BISKUP. A może i nie, ale co to was obchodzi? (Ogląda się ostrożnie.) Czaszka w hełmie. I potrzebne to ludzkie kości wystawiać na pokaz innym... Czy ona mię zresztą usłucha? Ojca przecież słuchać nie chciała.

MESSIRE KAEDIN. A widzieliście też takiego, coby

starego księcia słuchał? Ja nie. Rychło patrzeć, jak go do jakiej komory zamknę, żeby nam wstydu nie robił.

BISKUP. Jakto?

MESSIRE KAEDIN. Pije dużo i dziewkami bawi się nad miarę. W jego wieku. I do spraw moich się wtrąca.

BISKUP. Złym synem jesteście, Messire, wiem o tem.

MESSIRE KAEDIN (z gniewem). Ja! (Przez zaciśnięte zęby:) Jest też komu o złych mówić synach!

BISKUP (prędko). Pomówię chętnie z księżną; postaram się nakłonić ją do waszej woli.

MESSIRE KAEDIN. Gdyby ona ze mną mówić chciała, nie potrzebowałbym waszej pomocy, ale nie chce. Zrestą byłem dziewosłębem Tristramowi.

BISKUP (Ironicznie). Nie mieliście szczęśliwej ręki.

MESSIRE KAEDIN. A pies, kłamca, łotr bezczelny! Zaklinał się na swoją cześć rycerską, że tamtej już nie kocha. Szkoda, że słów jego nie pamiętam, pięknie mówił. A pózniej... Każdy giermek, każdy paź, każdy chłop wiedział, że zdradzał siostrę moją dla tej ścierki irlandzkiej, gotowej...

BISKUP. Dość tego! Stary jestem, a stanę z wami w szrankach dla obrony jej czci.

MESSIRE KAEDIN. Nie będę się bił z wami.

BISKUP. Czemuście Tristrama nie wyzwali na rękę? A na św. Jerzego! mimo twych pięciu rycerzy nie śmiałbyś szczekać tutaj swych oszczerstw, gdyby Tristram żył jeszcze.

KURWENAL (wchodzi i kłania się głęboko obecnym). Księżna będzie tu za chwilę.

BISKUP. Gdzie była?

KURWENAL. Na grobach. Modliła się.

BISKUP. Przebaczyła więc wszystko? Przyznam się, że mi trudno temu uwierzyć; zapomnieć, tak, to możliwe, ale pamiętać i przebaczyć, to nad siły ludzkie.

KURWENAL. Bo też księżna jest świętą. Nienawidziłem niegdyś żony pana mego, bo on jej nie kochał, a dziś całowałbym ślady stóp jej na piasku.

MESSIRE KAEDIN. A jabym cię żywcem ze skóry obdarł, za to, że panią swoją do coraz nowych łez i żalów pobudzasz.

KURWENAL. Nie ja winien jestem, jeśli księżna nie godzi się na nowe śluby.

MESSIRE KAEDIN. Nie ty! Więc kto, podstępny rajfurze?

KURWENAL. Mimo całej czci, jaką mam...

YSEULT (wchodząc). Co to kłótnia? w moim zamku, jak w karczmie przejezdnej? Ach, to ty, mój bracie! (Chce się cofnąć).

MESSIRE KAEDIN (podchodzi do niej szybko i bierze ją za rękę). Pół roku cię nie widziałem. (Przypatruje się jej. Z uśmiechem:) Blada jesteś. Wyglądasz, jakbyś za swemi zaciśniętemi ustami kryła jakąś wielką tajemnicę. (Nachyla się nad nią i chce ją pocałować).

YSEULT (usuwając się gwałtownie i starając się wyswobodzić rękę). Proszę cię, odejdź. (Do Kurwenala:) Kurwenalu, nie mówiłeś mi wcale, że Messire Kaedin przyjechał?

KURWENAL. Zabronił mi wspominać o sobie.

MESSIRE KAEDIN. Musiałem użyć podstępu, żeby cię zobaczyć. A tak stęskniłem się za tobą.

YSEULT. Czego chcesz ode mnie?

MESSIRE KAEDIN. Przyjechałem w towarzystwie biskupa z Tamis. On ci powie o wszystkiem.

YSEULT (kłaniając się biskupowi). Wybaczcie, że dotychczas was nie pozdrowiłam. To wina mego brata, nie widziałam was.

BISKUP. Bóg z tobą, córko moja.

YSEULT (spostrzegając, że Messire Kaedin i Kurwenal zostali w sali). Kurwenalu, zaprowadź Messire'a do sali biesiadnej, niech dziewki moje mu służą. (Messire Kaedin otwiera usta, żeby siostrze odpowiedzieć, namyśla się, macha ręką i wychodzi; za nim Kurwenal.)

YSEULT (oddychając głęboko). Nareszcie. (Do biskupa, uprzejmie:) Czego żądacie ode mnie, jestem gotowa do wszelkich usług.

BISKUP (prędko). Przyjechałem na żądanie ojca twego.

YSEULT (zimno). Tak.

BISKUP. Domyślasz się zapewne, czego chcę od ciebie.

YSEULT (milczy).

BISKUP. Ojciec twój życzy sobie, żebyś poślubiła Rogera z Parmenii.

YSEULT (j. w.). Tak.

BISKUP. Nie jestem za tem, żeby wdowy po raz drugi wychodziły za mąż, stan wdowi jest błogosławiony i święty, ale ojciec twój stary potrzebuje opieki i miłości. Gdybyś poślubiła Rogera, stary książe znalazłby w tobie i mężu twoim podporę swej starości, obronę przeciw wrogom. Znasz swego brata, więc wiesz chyba, że on przedewszystkiem...

YSEULT. Pozwólcie, że okno odemknę, duszno w tej sali.

BISKUP. Rób, jak chcesz. (Yseult otwiera okno). Samotna jesteś, dzieci nie masz, dobre to, pókiś młoda, ale czem żyć będziesz, gdy włos twój osiwieje. Samotna starość jest podwójną starością, Yseult. Kto będzie przy tobie, gdy przyjdzie twoja ostatnia godzina? Sługi twoje? Rozbiegną się, gdy sił ci nie stanie do rozkazywania, i nie będzie komu zamknąć ci oczów, gdy skonasz. Przejdziesz przez życie, jak cień, nie zostawiając po sobie nawet wspomnień. Nikt modlić się nie będzie za ciebie, nikt

nie da na mszę za twoją duszę. Kto wie, o ile lat dłużej będziesz przez to w czyscu?

YSEULT (z uśmiechem). A jeśli pójdę do piekła?

BISKUP (z gniewem). Gdybym nie wiedział, — poznałbym po tym bezbożnym żarcie, że jesteś siostrą Messire'a Kaedina.

YSEULT. Wybaczcie mi, mówiłam, co myślałam, a musicie mi i więcej wybaczyć: tak dawno nie widziałam ludzi, że zapomniałam, jak należy przyjąć i uczcić takiego gościa, jak wy. Muszę...

BISKUP (niecierpliwie). Zostaw to, chcę od ciebie tylko wyraźnej odpowiedzi: czy poślubisz Rogera?

YSEULT. Nie!

BISKUP. Namyśl się dobrze, za lat parę nikt cię za małżonkę pragnąć nie będzie.

YSEULT (półgłosem). Póki trzymam zamki i ziemie po matce mojej...

BISKUP. Myślałby kto, że płaczesz najwierniejszego i najlepszego małżonka! Każdy truwer śpiewa o miłości Tristrama z Lijones do królowej Kornwalskiej, a ty mu dochowujesz wiary po śmierci nawet. Tristram był najpiękniejszym i najdzielniejszym z rycerzy, ale ciebie skrzywdził.

YSEULT (ze spuszczoną głową, bardzo cicho). Skrzywdził mię!

BISKUP. A... czujesz to sama!

YSEULT. Skrzywdził mię. Czemu przyszedł i zmusił mię do miłości. Dawniej nie było istoty ludzkiej, nie było kwiatu, pieśni, chwili dnia, którąby nie miała cząstki mojej miłości; ale później kochałam tylko jego, i wszystko inne niczem mi było, i ja niczem byłam bez niego.

BISKUP. I nawet po jego śmierci nie możesz zapomnieć o tem?

YSEULT. Przecież on był życiem mojem i duszą moją! Wszak lata całe siedziałam tu, przy tem oknie,

patrząc na gościniec, prowadzący z północy. Serce moje i oczy moje leżały na kamieniach tej drogi, którą on miał przyjechać. A gdy ciemno było, zamykałam oczy, które nie mogłyby go zobaczyć, i drżałam przy każdym szczęku oręża straży, przy każdem wyciu psa, rżeniu koni. Rozumiesz, lata całe. A on przyjeżdżał czasami. Wtedy zamykał oczy, jak ja, całował usta moje i mówił „Yseult!“ I wtedy wiedziałam, że on dlatego zniszczył życie moje, by módz małżonkę swoją nazywać tem imieniem, imieniem tamtej. I to wszystko ma umrzeć bezpowrotnie, nie być: i ból mój straszny, i poniżenie, i miłość moja, i te długie lata, które strawiłam tutaj w zamku? Ja sama mam to wykreślić z życia mego, zapomnieć? Ależ ja zapomnieć nie mogę.

BISKUP. Życie jest długiem, Yseult, a młodość krótką. Spójrz na mnie, i ja byłem młodym niegdyś, kochałem i nienawidziłem, byłem sławnym i dzielnym, silnego ramienia i silnej myśli. A dziś? nic z tego nie pamiętam. Bo jeśli nawet wspomnienie przyniesie mi jaką chwilę minioną, to zdaje mi się, że to raczej wspomnienie z jakiejś księgi rycerskiej, którą czytałem niegdyś, niż z własnego życia mojego. O wszystkiem się zapomina.

YSEULT. Prawda, byłeś niegdyś Messirem Jerzym z Dolois. Czy miałeś wrogów, których nienawidziłeś, tak, wszystką krwią swego ciała, oddechem każdym, każdą myślą swoją, wrogów, którzy w snach stawali przed twojem łożem, i których życie kładło się kamieniem na piersi twoje? Miałeś?

BISKUP. Niema człowieka bez wrogów. Miałem.

YSEULT. Czy ich zabiłeś?

BISKUP (niespokojnie). Tak, być może.

YSEULT. I nie zaraz, i nie prędko. Pewnie długo układałeś plan zasadzki, wysyłałeś szpiegów, żeby wiedzieć, kiedy wyjeżdżają z zamków swoich, czekałeś

na nich ukryty w lesie. Albo może nagle z nieopisanem szczęściem spotkałeś ich w bitwie? Nie poznałeś ich po barwie i po zbrojach, tylko po biciu serca swego. Czy zabiłeś ich odrazu, czy też przedłużyłeś im chwilę konania?

BISKUP (z westchnieniem). Byłem wielkim grzesznikiem, ale nie tobie przystoi przypominać mi grzechy moje. Jabym tak chciał zapomnieć.

YSEULT (twardo). To są najpiękniejsze wspomnienia życia twego.

BISKUP (krzyczy). Yseult!

YSEULT. Widzisz, a ja się zemścić nie mogłam. Musiałam czekać cierpliwie, aż Bóg zlituje się nade mną i przyśle mi go konającego do mej komnaty. Zdaje mi się, że mogłabym stać lata całe i patrzeć w jego zrozpaczone oczy, jak wtedy, gdym mu rzekła, że czarne żagle wieją z okrętu Kurwenala. Ach, gdybym jeszcze raz jeden mogła usłyszeć jej jęki nad jego ciałem. (Uśmiechając się:) Nigdy podobnych jęków nie słyszałam. Myślałam, że skonam ze szczęścia, jak ona z boleści.

BISKUP. Straszna jesteś, Yseult. Nie dziwię się, że mąż twój odwrócił się od ciebie: serce twoje to gniazdo wężów.

YSEULT. To jego wina! Serce moje było podobne niegdyś do ogrodu pełnego wonnych kwiatów. Było smutne i słodkie, jak zachodzące słońce. Czyż nie skrzywdzili mię oni?

BISKUP. Należy przebaczać.

YSEULT. Nie przebaczę, i w godzinie śmierci mojej nie przebaczę, i potępioną będę po śmierci, bo przebaczyć nie mogę. Czyż nie skrzywdzili mię oni?

BISKUP. Tak, krzywda twoja wielka. Ale zostaw umarłych. Patrz, na grobach ich kwiaty kwitną, róże je

oplotły. Zapomnij o nich. I dla ciebie jeszcze róże kwitnąć mogą, jak tym umarłym.

YSEULT. Róże na ich grobie! Każdy truwer śpiewa o różach na grobie Tristrama z Lijones i Yseulty z Irlandyi, każdy truwer śpiewa o ich miłości. Ale przysięgam, że, gdyby oni wtedy nie umarli, nie śpiewanoby ani o Tristramie, ani o Królowej Kornwalskiej, tylko o zemście Yseulty o Białych Dłoniach, o mojej zemście!

BISKUP. Choćbyś ich własną dłonią zabiła, choćbyś zamordowała ich w tak strasznych mękach, jakich jeszcze dotychczas nikt nie śmiał użyć, dziś nie żyliby już i twoja zemsta mogłaby się tylko nasycać ich grobami. Przestań więc żałować niepopełnionych grzechów.

YSEULT. Nie żyliby, mówisz? O wy, serca barbarzyńców, zabić to się u was zemstą nazywa! (Śmieje się:) Zgładzić wroga? Nie, niech żyje i cierpi, i niech wie, że tylko śmierć może być końcem jego bólu. I niech się boi tej śmierci, jak tylko ludzie bardzo nieszczęśliwi bać się jej mogą. Ja się też dawniej bałam umrzeć.

BISKUP. Nie zostanę tu ani chwili dłużej, nie chcę nic mówić z tobą. Odejdź, albo zawołaj ludzi, słyszysz, rozkazuję ci.

YSEULT. Nie, teraz powiem już wszystko. (Szeptem:) A jeśli oni wtedy nie umarli, a jeśli ja kazałam złożyć do ziemi puste trumny? Jestem panią nieograniczoną w moim zamku, jeden Kurwenal mógłby mię zdradzić, a przecież to tak łatwo zamknąć usta ludzkie na wieki. A później...

BISKUP (również szeptem). A później?

YSEULT (j. w.) Widziałeś kiedy lochy pod tym zamkiem? Są tak głębokie, że nie słyszy się uderzenia kamienia, padającego na ich dno, i tak ciemne, że trzeba trzymać pochodnię przy twarzy więźnia, by ujrzeć jego oczy. Gdy schodzę do nich, taki ciężar kładzie się na

piersi moje, że zdaje mi się, iż żywcem wstępuję do grobu. Ale ja często schodzę do lochów.

BISKUP. Sama?

YSEULT (j. w.). Kat idzie ze mną i ustawia tam w dole narzędzia tortur. Przysięgam, że nikogo niema na torturach. To ja sama jęczę, i głos mój odbija się od ścian więzienia. Nie, tam niema ramienia, które napróżno pręży się pod ciężarem żelaza, chcąc zerwać więzy, przykuwające je do kamieni lochu; jeśli kajdany dźwięczą, to tylko dlatego, że upadły z rąk pachołka. Tam przecież nigdy niema nikogo oprócz nas dwojga: mnie i kata. Tylko czasami idzie ze mną jedna z dziewek moich z kochankiem, i słyszę wtedy ich urywany szept miłosny i westchnienia. Przysięgam ci, że nie wiem, kto wyje wtedy w ciemnościach nieludzkim głosem. Nie wiem... może...

BISKUP (głośniej). Nie mów szeptem.

YSEULT (nie podnosząc głosu). Tam w dole nawet szept słyszą. Czy wiesz, że lochy są pod tą salą. Często siaduję tutaj i każę przyjezdnym truwerom śpiewać pieśni, zawsze tylko o Tristramie i Yseulcie. I oni to słyszą, tam w dole. I wtedy zdaje mi się, że palce ich skutych rąk wpijają się w mur, i cały zamek drży od ich bezsilnego bólu nad przeszłością.

BISKUP (zrywając się). Dość tego! oni są tu w zamku.

YSEULT. Cóż znowu, przecież w kaplicy leżeli z odkrytemi twarzami. Gdyby żyli, czyż są tortury, które wymogłyby na mnie zdradzenie tej tajemnicy? Czyż nie znaleźliby oswobodzicieli? Jak sądzisz, kochałyby się jeszcze te dwa ohydne kościotrupy, gdyby ujrzały się teraz? Może byłoby to największą karą dla nich, ujrzeć się teraz? Zresztą gotowam zejść z tobą do lochów, przekonasz się, że tam niema nikogo.

BISKUP (po namyśle). Nie, nie chcę, niech Messire Kaedin idzie z tobą.

YSEULT. Byłaby to za wielka pokusa dla mnie, być może, iż zatrzymałabym go tam na dole.

BISKUP. Brata twego!

YSAULT. Czemu nie umiał bronić praw moich przyjaciel Tristramowy! Dlaczego nie pomścił mnie, gdy był czas po temu, dlaczego nie zabił go w jej ramionach? Zdaje mi się, że nicby mi już do szczęścia nie brakowało, gdyby on był w lochach razem z nimi.

BISKUP. Mówisz tak, jakby oni żyli jeszcze.

YSEULT. Krwią mego serca żyli po śmierci, upiory, ale teraz umarli. Gdy mówiłam do was, zaczęli blednąć i konać. Znikli i już nie wrócą, ale może być, że ja odejdę z nimi. Pozwólcie mi się oddalić, nie mogę dłużej...

BISKUP (niecierpliwie). Idź, idź.

YSEULT (odchodzi, chwiejąc się. Przechodząc koło zbroi Tristrama, opiera się na niej. Topór urywa się i spada na podłogę, która wydaje głęboki ton, jakby zakończony jękiem).

BISKUP (zrywa się, krzycząc). Oni są tu w zamku!

YSEULT (odwraca się i mówi zimno i spokojnie). Cóż znowu, przecież to Kurwenal przyjmował was na moście zwodzonym. Jeżeli on żyje, to pan jego nie może być w lochach mego zamku.

BISKUP. To prawda, nie myślałem o nim.

YSEULT (zamyślona). Co się tyczy Kurwenała... A wiecie, że mieliście racyę, mówiąc, iż starość zapomina. Mimo całej swej rozpaczy Kurwenal zapomniałby o Tristramie, zniósłby nawet czaszkę w tym hełmie. Ale ja jestem przy nim i codzień słowami rozkrwawiam ranę jego serca, codzień przypominam mu o panu jego i, sama płacząc, patrzę, jak łzy płyną po jego starczej twarzy, jak z oczu

jego wyziera wielka rozpacz beznadziejna — i niezmierna radość zalewa mi serce. (Wychodzi).

MESSIRE KAEDIN (który widocznie przy drugiem wejściu oczekiwał końca rozmowy, wbiega pośpiesznie.) No i cóż, mówiliście z siostrą moją?

BISKUP. Ja z nią? Sam szatan mówił ze mną dzisiejszego wieczora.



A. Hertzówna.



BOSKIEJ KOMEDYI DANTA PIERWSZA I DRUGA PIEŚŃ O PIEKLE. TŁÓMACZENIE Z WŁOSKIEGO PRZEZ CYPRYANA KAMILA NORWIDA.

O PIEKLE — PIERWSZA PIEŚŃ.

W południu życia, straciwszy już drogę,
Do jak ciemnego dostałem się boru, —
Dziś jeszcze wspomnieć bez strachu nie mogę,
Opisać nie śmiem — bo czarny, bez toru,
Przeczarny — śmierci jaśniejsze wspomnienia!
Lecz, ile zysku uniosłem z tej próby,
Żeby słusznego nie uszło baczenia,
Opowiem. — Mrok mnie otoczył był gruby,
Od kiedy drogę straciłem prawdziwą:
Więc jakby we śnie precz byłem niesiony,
Aż kędy ziemia podnosi się krzywo
W kształt góry, słońcem na barkach złocony.
I aż tam oczy podniosłem z otuchą
Ku opiekuńczej podróżnych światłości;
Po całodziennem martwieniu się skruchą,
Obawy próżen i serca ciężkości.
Jak ten, co, jeszcze z oddechem tłumionym

Zaledwo brzegu dopadlszy z głębiny,
Oczy ku falom obraca spienionym, —
Podobnież umysł mój onej godziny,
W samej ucieczce obrócon za siebie,
Zdawał się przeszłość podziwiać zdradliwą,
Co rada chłonie śmiertelnych i grzebie,
Na niepowrotne zamknięta ogniwo.
Niedługo wszakże, pokrzepion na sile,
Już mam się dalej, lecz z trudem niemałym
Dla spadzistości — zkąd, cały na tyle
Oparty, przed się wstępując, wisiałem.
Gdy oto w samem wędrówki zaczęciu
Pantera *ku mnie wybiegnie z uboczy,*
Nie uciekając, jak zwyczaj zwierzęciu,
Lecz owszem ślepie zawodząc mi w oczy.
Tak, że już wrócić — mniemałem — słuszniejsza,
I po kilkakroć cofnąłem spojrzenie —
Ale był piękny czas — ranek — co zmniejsza
Obawę — słońca wschodniego promienie,
I one gwiazdy, świadkowie odwieczni
Miłości, która wszystko to stworzyła.
A wszystko piękne!.. Zkąd jakoś bezpieczniej
I o tej bestyi, coby mi wróżyła,
Mniemałem — barwę dziwiąc jej krzyczącą.
Aliści z trwogi nieledwo ochłonę,
Gdy okrutnego lwa *paszczę wietrzącą*
Spostrzegłem — w moją zawrócił ją stronę,
Szaleństwem głodu długiego miotany,
A niemniej w szkielet zachudła wilczyca
Tuż za nim — tej ja widokiem zmieszany,
Skoro mi ślepie jej padły na lica,
Zadrżałem — dalszej niechając podróży.
Więc jako kupca, co lekko zyskiwał,
Gdy potem długo i próżno się nuży,

Aż wreszcie straci: tak mnie los zażywał.
Niepokojony wilczycy oczyma
Cofnąłem kroku — i noga za nogą
Zaszedłem wreszcie napowrót, gdzie niema
Słonecznych blasków, w dolinę niebłogą.
I napotkałem tam postać błądzącą,
Która mi zdała się trawić milczeniem
Od wieków, — tej ja zawczwę gorąco:
„Kto jesteś, nie wiem, śmiertelnym czy cieniem,
„Ale mnie widzisz w potrzebie strasztiwej,
„Odpowiedz, poradź!“...— „Śmiertelnym już byłem,
„Nie jestem*— dom moj Mantua, a niwy*
„Lombardyi moją ojczyzną — nie żyłem
„Za Juliusza, acz w on czas zrodzony,
„Raczej, gdy August przyświecał nad Rzymem,
„A Jowisz niebem sprawował zmyślony.
„Wtedy ja byłem poetą i rymem
„O Anchizesa głosiłem nasieniu,
„Co z Ilionu uszło spalonego —
„Lecz ty — ach! czemuś powrócił cierpieniu —?
„Patrz — oto góra radości — dlaczego
„Nie podążyłeś, gdzie prawdy stolica?..“ —
A ja: „O! Mistrzu — poznaję — Wirgili!..“
I wraz rumieniec zapalił mi lica
I rzekłem — „od tej nie opuść mię chwili,
„Ile żeś wieszczów światłością i czołem,
„Ile że źródłem jesteś prze-obfitem,
„Gdzie i ja czasu znużenia czerpnąłem,
„Zkąd wszystko u mnie, co niepospolitem!
„Jeśli mi powrót zarzucasz niewczesny,
„Patrz, oto żywa przede mną zapora,
„Która mię w lament wprawiła bolesny;
„Od ciebie rady chcę, jak od Doktora.“
A on — „Do innej podróży się sposób,

„*Tej ci wilczyca zabroni, tak chciwa,*
„*Że lubo wiele zgładziła już osób*
„*(I wielu jeszcze przyszłość nieszczęśliwa),*
„*Niczem się nażreć nie może to zwierzę,*
„*Ale po strawie głodniejsze niż pierwej;*
„*Ona i inne zużywa lubieże,*
„*Z wieloma twory łącząc się bez przerwy.*
„*Ale nadbieży* chart, *ten ją owładnie —*
„*Bo żądze jego nie będą ziemskiemi,*
„*Raczej o cnotę*, *um, miłość, zagadnie.*
„*Pomiędzy* Feltro *a* Feltro — *po ziemi,*
„*Dla której czysta skonała królewna.*
„Eurjal, Turnus *i* Niso — *on gończy*
„*Pies za wilczycą podąży, aż gniewna*
„*W otchłaniach, które kolebką jej, skończy.*
„*Przeto idź za mną, jać będę przodkował,*
„*Ale przez państwo wynijdziesz ztąd wieczne,*
„*Gdzie będziesz słyszał i będziesz żałował*
„*Lamentujących za życie bezpieczne;*
„*Gdzie będziesz duchy oglądał, jak płaczą*
„*Przez wieki końca żebrzące, bez końca,*
„*I te, co kiedyś zbawienie zobaczą,*
„*Jaśniejsze — przeto, że tęsknią do* słońca.
„*Lecz jeśli ówdzie, zkąd słońce to świeci,*
„*Podążysz chucią, — nie moja już droga:*
„*Ja wrócę — czystszy niech z tobą uleci*
„*Przez nieodzowność wyroków do Boga,*
„*Gdzie radość wieczna — i kędy, żem krzywy,*
„*Do panowania i Tronów i Chwały*
„*Nie jestem furtą — — o! bardzo szczęśliwy,*
„*Komu się takie urzędy dostały!*“
Więc ja — „Poeto! przez Boga żywego,
„*Którego jeszcze nie znaleś — Poeto!*
„*Sprawuj mną, niechbym uniknął raz złego*

„I, kędy lament, zobaczył — mów — gdzie to? —
„Do furty Piotra Świętego mnie prowadź.“

. . . .

Więc tak Wirgiliusz pocznie mi przodkować:

O PIEKLE — DRUGA PIEŚŃ.

— Skonały światła dziennego promienie,
A szare mroki, co idą za niemi,
Okryły prace — i wszelkie stworzenie,
Krom mnie jednego, spoczęło na ziemi.
— Podróży znojem i znojem współczucia
Na ciągłą walkę zmieniłem oddechy:
Zwłaszcza, że umysł, z dziennego okucia
Wyzuty, wierniej malował mi grzechy.
O Muzy! — i ty, potęgo tworzenia!
Swoich mi natchnień nie odmów na dobie,
I ty, co lotne utrwalasz widzenia,
Pamięci! próbę nastręczam i tobie.

Więc rozpocząłem tak:

„Wieszczu — niżeli
„W przeszłości otchłań stąpimy głęboką,
„Zważ, czyli wytrwam? — Bo są, co widzieli,
„Jako Eneas — acz równie miał oko
„Śmiertelne. — Temu człek zdrowej uwagi
„Ani się będzie dziwował, gdy wspomni,
„Jak pełną miarę i jakiej to wagi
„Do jego losów wiązali potomni.
„Zkąd i Bóg, złego odwieczny pogromca,
„Pobłogosławił wędrówkom Enea,

„Że — jako Ojciec, nie obcy łakomca,
„Na siedmiu wzgórzach nim zatknął trofea,
„Już pierwej — o czem śpiewałeś uczenie —
„Te rzeczy palec odsłonił mu Boży;
„I że Anchiza stárego nasienie
„Rzymowi kamień węgielny założy. —
„Co większa, wniósłbym o tymże pielgrzymie,
„Że może celom służył oddalonym
„I tym, co później usiedli na Rzymie
„W tyarze Piotra i w płaszczu złoconym.
„Bo i z dwunastu wybrane naczynie
„Pielgrzymowało z Anioły Bożemi
„Po słodkość prawdy— — lecz mojej przyczynie
„Czyliż ktokolwiek zaufał na ziemi? —
„Jam nie Eneas, nie Paweł — i u mnie,
„I u znających mnie tyla niewarty.
„Więc, jeśli przeczę, to zechciej rozumnie
„Osądzić — prawy-m, czy tylko uparty?“
To mówiąc, byłem jak człowiek niestały,
Który co chwila odwleka zaczęcie,
I u stóp ciemnej wstrzymałem się skały,
Ile niewczesnem — bacząc — przedsięwzięcie.
Alić się do mnie cień ozwie wspaniały:
„Zwątpienia twoje znam (ileż to razy
„Szlachetną one porywczość cofały,
„Jak zwierza — cienia fałszywe obrazy!)
„Lecz, abyś trwogę pokonał niesławną,
„Wiedz, kto mnie natchnął współczuciem dla ciebie,
„Niżeliś o nie zawezwał niedawno.
„Jam z owych, którzy ni w piekle ni w niebie,
„Ale w limbowem przestają czekaniu;
„Tam, skoro dumam, — głos cichy lecz miły,
„Przeanielskiemu podobny śpiewaniu,
„I oczy słońca jaśniejsze — sprawiły,

„Że usłuchałem rad świętej dziewicy.
— „Mantuańczyku — mówiła — o którym
„Niedość, że w twojej i obcej stolicy,
„Ale i w świecie powieści są wtórym,
„Patrz — oto człowiek, którego na ziemi
„Kochałam, — smutny, gdy w miejscu bezludnem
„Przeszkody znalazł, cofnięty jest niemi.
„Czyli już zbłądził? nie sądzę — lecz w trudnem
„Zdarzeniu, własnej nieufna przyczynie,
„Zaklinam ciebie, ty słowy wieszczemi
„Wczas mi go wesprzyj, i żałość niech minie.
„Jam Beatricze, a mieszkam z takiemi,
„Że tylko miłość wywołać mnie może,
„I wyszłam ztamtąd — gdzie obym już była!..
„Gdzie przed oblicze stanąwszy znów Boże,
„Będę się z twojej usługi chwaliła. —
„Tak kończy — ja zaś rozpocznę: — O! święta,
„Za której sprawą człek wyższe ma czoło
„Nad stworzeń tłuszczę, co z nimże zamknięta
„W księżyca obrót i niebios tych koło, —
„Co mi polecasz, chociażbym w tej chwili
„Wykonał, — jeszcze winiłbym się mocno
„O opieszałość — lecz oświeć mię — czyli,
„Z jasności w otchłań zstępując tu nocną,
„Skoro cię żądza powrotu zapala,
„Ty się jej odjąć nie lękasz — i czemu? —
— „Posłuchaj — lękać się tylko zniewala
„To, co być może szkodliwem bliźniemu,
„Lecz nic innego. — Mnie dano jest z góry,
„Że ani ogień piekielny, ni wasza
„Niedoskonałość mej skala natury.
„Błogosławiona tam *jest, co uprasza*
„Ze skutkiem. — Ona, gdy w Łasce pożąda,
„Nieodwołalne zmieniwszy ustawy,

„*Do Lucyi rzekła:* — „Wierny twój wygląda,
„Żali go wesprzesz w czas trudnej przeprawy?
„A ja go twojej polecam przyczynie.“
„Więc Lucya, że jest okrutnym przeciwną,
„Opuści miejsce i ku mnie popłynie,
„Kędy z Rachelą siaduję przedziwną,
„I w te się ozwie słowa: — „Beatricze —
„Ty, coś jest czujną w chwaleniu przed Panem,
„Miałażbyś sidła dopuścić zwodnicze
„Na męża, który — niezwykłem się mianem
„Dla ciebie jednej okrywszy — zasłynął?..
„Który cię tyle ukochał — a oto
„Czy widzisz? — oto, ledwo że nie zginął.
„Czy słyszysz? — jęczy, dociśnion zgryzotą.
„Wokoło rzeka grozi mu śmiertelna,
„Oceanowi nierada hołdować
„Ni ludzkiej dłoni — lecz w prądzie tak dzielna,
„Że jeszcze po niej nikt nie śmiał żeglować.“ —
„To słysząc, z świętej powstałam ławicy,
„A ufna w Muzie, przez której natchnienie
„Twoi się nawet wznieśli zwolennicy,
„Zstąpiłam.“ — Na tem skończywszy mówienie,
„Poczęła okiem naglić mię zroszonem.
„I uczyniłem co rychlej, jak chciała —
„Przed bestyą własnem zakryłem cię łonem.
„Lecz teraz — kiedy dostępną ci skała,
„Cóż poczniesz? — czemu, z błędnemi oczyma,
„Nie postępujesz — jak człowiek trwożliwy?
„Gdzież serca ufność? — i jeszcze coć trzyma? —
„Wszakże na dworze niebieskim trzy panny
„Błogosławione — piastują twe losy,
„A ja ci pochód wróżę nieustanny.“ —
— Jak kwiaty nocą zamknięte dla rosy,
Kiedy je słońce z pomroku wywoła,

Na ukrzepionej powstawszy łodydze,
Już całem okiem patrzają dokoła. —
Tak i ja — trwogi gdy wczas się zawstydzę —
W te słowa rzekłem: „O! wielce łaskawą
„Ta opiekuńcza istota na Niebie,
„I ty, że moją przejąłeś się sprawą.
„Wiedz, że odtychmiast ślubuję dla ciebie
„Wszelaką serca i myśli powolność,
„Bo tyś mi drogę uprościł zawiłą,
„Strwożony umysł wybiwszy na wolność.
„Więc idź — niech jedną i wolą i siłą
„Zdążamy odtąd. Więc sprawuj, jak wodze
„I mistrze czynią" — — tu słów już nie było,
Ale po dzikiej ruszyliśmy drodze.



Anamorfozy.

(Z cyklu: Viraginitas.)

I.

Zwycięzcy bezładnie wkraczają w bramy ojczystego miasta. Szeregi rozśpiewane, brudne, wrzeszczące, pomieszane z kobietami, które wyszły naprzeciw, daleko na drogę, porwane uniesieniem, niosąc gałęzie rozkwitłej topoli, oliwek i wawrzynów, zmieszane i równe we wspólnym szale radości.

Zbroje Greków cynowe, miedziane i skórzane są pogięte, pełne dziur i załamań, tuniki podarte, nierzadko krwawe szmaty na czołach i piersiach.

Ale wściekłe upojenie świeżej walki i zwycięztwa świeci jeszcze w ich oczach, ponurych od mordu, na ich wargach, rozwartych od pragnienia i krzyku.

Jakaś kobieta z ludu, w krótkiej do kolan odzieży ciemnej barwy, z dzieckiem na ręku, ssącem chciwie jej pierś odkrytą, z dumą objęła wolnem ramieniem szyję brodatego męża, w nagolennikach mosiężnych, o nagim torsie i brzuchu, obciągniętych skórą spaloną słońcem na

bronz, w krótkiej, marszczonej tkaninie do połowy ud i w jednym sandale, — gdy druga, bosa, owiązana stopa znaczy krwawe ślady w drożnym pyle.

Inna, silna dziewczyna, o wysokiej piersi i ustach jak rąbek purpury tyryjskiej, w zapale rozdaje wojownikom pocałunki swoich warg wilgotnych.

Na czele jedzie młody wódz.

Sam jeden nieruchomy i obojętny, pośród okrzyków ubóstwiającego go ludu i przyćmionych, długich spojrzeń kobiet, którym na jego widok białe uda wstrząsa dreszcz boski—

Wojsko niesfornym tłumem przeciąga teraz koło Akropolis, zkąd spogląda na nich nadnaturalny, dwakroć olimpijski posąg Pallady, mija świątynie o tympanach jaśniejących płaskorzeźbami i frontony pałaców powlekane w zagłębieniach lazurem i złotem.

Ochrypli i okryci pyłem, zasiedli w końcu koło długich stołów, zastawionych do uczty, jaką miasto podejmuje swych obrońców.

Nad ranem dopiero rozejdą się żołnierze do domów i ognisk, — wróci młody mąż do opustoszałej łożnicy, ojciec rodziny w grono dzieci nagich i sprężystych, jak młode Fauny, rolnik do pługa i siewu, rzemieślnicy do swych warsztatów, artyści do pracowni.

Złotnik pójdzie wykuwać metalowe przepaski w kształcie dyadematów, kryte płaskorzeźbą, a zwane „stefane,“ powszechną ozdobę głowy bogiń i kobiet wykwintnych, — dla mężczyzn obrączki złote lub cykady; — cyzelować srebrne, owalne, matowe zwierciadła, z posążkiem Hebe, zamiast rękojeści; — drążyć w agacie i alabastrze kosztowne flakony na pachnidła lub trucizny; — wycinać cudne gemmy i kamee na chalcedonie, onyksie, karniolu, heliotropie, hyacyncie i chryzolicie, lub czynić ze złota miniaturowe lusterka, szkatułeczki, amorety i motyle, dawane do grobu młodym umarłym kobietom.

Snycerz w tym samym celu podejmie modelowanie, za pomocą drewnianej łopatki, delikatnej gliny, wziętej z łoża rzeki — nada jej kształt drobnych, zadziwiających figurek, które później powleczone zostaną złotem i jasnemi barwami, — lub tworzyć pocznie harmonijne i czyste kontury to waz i amfor, o wysmukłych uszach, to lamp i kaganków z blado różowej terrakoty.

Malarz lub woskownik, w którego ręce przejdą te przeczyste formy, poprowadzi korynckie szlaki na tle ciemno-żółtem, lub rzuci purpurowe malowidła na tło z hebanu, albo natrze barwnemi liniami na białej powierzchni rysunki bogów i śmiertelników, albo nałoży je woskiem, rozpuszczonym w najdelikatniejszej, rozgrzanej oliwie.

Tymczasem jednak wszyscy ci twórcy nieświadomi siebie pozrzucali z uznojonych czół cisnące je kaski, porozluźniali rzemienie zbroic, odrzucili miecze — i obu rękoma unoszą do ust popękanych czasze greckiego wina, napełniane obficie, ze skórzanych worów pod ścianami, przez kobiety, niosące z rozkoszą swoim bohaterom sok winnej jagody, białość swych piersi i odpoczynek w uścisku giętkich ramion.

Tylko ich młodego wodza nie ma z nimi.

Ledwie zdał starszyźnie krótką sprawę z przebiegu bitwy, zawrócił konia od progów Akropolis, wprost do słynnych łaźni miejskich, — zkąd, wyszedłszy po dwóch godzinach, męzki, gibki, namaszczony oliwą wonną, skoczył na grzbiet konia i ruszył wyciągniętym kłusem.

Jedzie nagi, jak przykuty na pysznym ogierze, maści lśniąco-spiżowej w czarne pręgi, o rozdętych nozdrzach i czarnych jak onyks kopytach. Ma narzuconą na ramiona białą chlamydę, którą wiatr unosi, u boku krótki miecz, oprawny w srebro, brylanty i skórę krokodyla, na głowie podłużny, złoty hełm syrakuzański, z przodu wybiegający w uskrzydlone ciało Chimery — —

II.

Niewielki, odkryty portyk, o dwudziestu czterech kolumnach z wytwornemi kapitelami z marmuru fiołkowego, — wybiega w ogród, cienisty, wonny, spokojny.

Poprzez smukłe pnie kolumn, rozstrzelone pod architrawami w koryckie liście akantu, — lśni z jednej strony ogromny promienisty brylant słońca, z drugiej złota moneta księżyca. Strop nieba jest koloru heliotropu i mieni się nakształt opalu.

W delikatnych blaskach, złocących rąbki tkanin, kilka młodych kobiet zajmuje marmurowe siedzenia, w pozach pełnych spokoju.

Słynne to kobiety, przedstawicielki heteryzmu ateńskiego, zgromadzone w domu Aspazyi, na zwykłem posiedzeniu „Akademii Miłości."

Są tu:

Rhodis, spartanka, „z obnażonemi udami." Ciało jej smukłe, sprężyste, o skórze matowej na łonie, na

ramionach i lędźwiach lśniącej i naoliwionej, opięte ciasno na silnych muskułach, bardziej młodziencze niż dziewicze, ciało Androgyne. I ten sam profil, czysty i bezpłciowy, co może należeć zarówno do Narcyza, jak i do Ifigenii. Ciężkie kędziory włosów leżą jej nad czołem, o tonie kości słoniowej przez czas wyzłoconej, jak pęki ciemnoniebieskich, wilgotnych hyacyntów — —

Safo, „jawna,“ — slowik lesbijski, w wieńcu złotych narcyzów, w śnieżnem peplos, co jednym prostym fałdem spływa z ramienia, oparta o kolumnę, z lirą dziewięciostrunną w ręku i wzrokiem, krwawą tęsknotą, błądzącym po nad ogrodami — —

Prześliczna Lais, liliowo-ramienna, w której żyłach płynie krew błękitna i wybija się subtelną siatką po całem ciele, — o łonie świetlanem i niebieskich cieniach — —

Młoda Kleo, o czystej, stromej piersi Najady, o oczach jak księżycowa, jasno-zielona aquamarina, mieniących się, kąpiących i przezroczystych, jakby nieustannie opłukiwanych słoną falą, — i o liniach wiotkich, jak kwitnąca trzcina —

Elichryzya — której ciało iskrzy się jak posąg ze srebra pod przezroczą, fiołkową tkanką — i której oczy zdają się pachnąć jak złote laki — —

U stóp tych kobiet, obutych w sandały wiązane wysoko, — pod kolumnami portyku, — na ścieżkach ogrodu, — grupują się i przechadzają mężczyźni starsi i młodsi, wiodąc rozmowy ożywione, w kwestyach sztuki, myśli, a zwłaszcza rozkoszy, oświetlanych z różnych punktów przez te kobiety, które są jej artystkami, — przez tych myślicieli, prawodawców, poetów, wojowników, lekarzy, filozofów i kochanków.

A w tych ludziach, w tych fałdach lekkich tkanin, w tych prosto-linijnych marmurach — jest jakiś wielki spokój, posągowej bladości.

Wszedł młody wódz.

Na powitanie podnosi się kobieta, jak pomysł rzeźbiarza, która zdaje się być panią tego zebrania — i tych mózgów...

Wódz pochyla przed nią nisko głowę męzką, przepyszną:

— Bądź pozdrowiona, Aspazyo —

Odpowiada głosem o cudownej głębi:

— Witaj nam, Alkibiadesie — —

Nowy gość został otoczony odrazu. Wieść zwycięzka wyprzedziła go tutaj dźwiękiem złotej surmy i leżała na dnie tych wszystkich dusz płomieniejących, — ale żadne słowo banalnej chwalby nie zawtórowało okrzykom ulicy —

— Szkoda, że przyszedłeś za późno, aby wysłuchać deklamacyi nowego wiersza Simonidesa z Kos, w którym głosił cztery warunki zupełnego szczęścia, stawiając piękność ciała w drugim rzędzie — mówił nie bez chełpliwości urodziwy Chalkos —

— I ma racyę, — potwierdził zbliżający się właśnie malarz, Apelles z Jonii, — mamy tego dowód świeży na boskiej Fryne. Udowodniono jej udział w spisku przeciwko państwu i stawiono przed sąd. Uratowała ją piękność, na zasadzie, że w tak nadmiernej urodzie jest tyleż pierwiastku boskiego, co w cnocie.

— Mówiąc o Fryne, — wtrącił Alkibiades, — nie wiem, czy znanem wam jest najświeższe zdarzenie, jakie przed chwilą opowiedział mi Alkajos, w łaźni miejskiej. — Praksyteles darował jej niedawno jedno z dzieł swoich, zostawiając prawo wyboru. Z tym jednak Fryne nie śpieszyła się zbytnio. W kilka dni potem, gdy kobieta i rzeźbiarz trawili wspólnie w jej domu czas na pieszczotach, wbiegł przerażony niewolnik z wieścią, że pracownia w płomieniach. „Ratujcie Amora i Satyra!“ — porwał się artysta. „Uspokój się, — rzekła Fryne, — to tylko ja

chciałam wiedzieć, które z twych dzieł jest najlepsze. Biorę Satyra."

Uśmiechnęli się słuchacze. Poetka Safo zaś podjęła ze strun lutni pieśń o Erosie, najmłodszym z bogów, najsubtelniejszym, gdyż stąpa i zatrzymuje się na najczulszych rzeczach: na sercach, — jest lotnym jak woń, bo wnika w dusze i opuszcza je, zanim go się odgadnie, — ma cerę kwiatu, gdyż dzień przesypia na dnie kwiatu, — i wylata o zmierzchu, jak wieczorny motyl lub ćma złota.

Alkibiades zbliżył się do Safo:

— A jednak mylisz się, Jasna, — przemówił, — gdyż Eros jest żądzą, a więc brakiem czegoś. Jest on synem Głodu, — chudy, brudny, bosy, — sypia na gołem polu, między kamieniami, — ale, chciwy piękna i mocy, zdobywa je śmiałością, podstępem, czynem, geniuszem, wytrwaniem. —

Skłonił się jej i oddalał — gdy Trazymachos, sofista, zaprzeczający różnicy dobrego i złego, i Prodikos, głoszący wstręt do życia, podeszli ku niemu, aby z podłużnego świstka odczytać mu półgłosem satyrę niewiadomego autora, krążącą po mieście, a wymierzoną przeciw jednej z obecnych kobiet:

— Prześliczna Lais, kiedy przepędza dnie w próżnowaniu, z czarą w ręku, porównaną być może do orła. Młoda i śmiała, porywa jagnięta i zające, aby je spożyć w swem gnieździe spokojnie, — zestarzawszy się, stanie się bojaźliwą i powolną, — i na dachu jakiej rudery oczekiwać będzie pojawienia się lichego zwierzątka... —

Poczem Alkibiades zbliżył się do Aspazyi, rozmawiającej z Apellesem, — i poczęli umawiać się o jutrzejsze odwiedziny w pracowni artysty, celem obejrzenia najnowszego obrazu: „Atalanta i Meleager."

III.

Alkibiades, bożek ludu, władca słowa zwięzłego i płomiennego, jak pociski oblężnicze, uszedł rozentuzyamowanym tłumom po jednem z przemówień publicznych, w których grał wedle swej fantazyi na strunach tej zbiorowej duszy, zamkniętej w ciałach rubasznych i spoconych.

Tedy—otoczywszy ręką ramiona młodego człowieka o głowie Parysa — przechadza się z nim po najdalszych przedmieściach Aten.

— Jutro udamy się nad morze, a ztamtąd pojedziemy na Kipr, jeżeli chcesz tego koniecznie. Uczynię to dla ciebie tem chętniej, że właśnie zbliżają się Adonye. Jako Kipryda wynurzy się tym razem Fryne, zwana Chryzeis, dla włosów przecudnego tonu,— i którą zresztą Praksyteles wziął faktycznie za model do posągu bogini. Trzeba, żebyś ją zobaczył, ty, pół - italczyku, — powrócony ojczy-

źnie dopiero dzięki jakiejś etruskiej histryonce. Nie lubię Rzymian, — nie podniosą oni nigdy ani wojny ani rozkoszy do godności filozofii. Patrz, Lykosie, — przerwał, zatrzymując się raptem.

— Gdzie?

— Tu, po nad ten mur... Nie darmo liczymy się przecież do najwyższych między Ateńczykami... Bez aluzyi — dodał ze szczególnym uśmiechem.

Jest wczesne popołudnie. W rozsłonecznionych ogrodach młodość i wesele tryska, jak perlista fontanna; na trawnikach pod drzewami kładą się chłodne fiołkowe cienie. Rozbujana wysoko huśtawka unosi dwie młode dziewczyny, podrażnione rozkosznie prądem szybko przecinanego powietrza.

W perspektywie pełnej blasku — rój swawolnic złotobrewych i złotorunnych nurza się i pluska w chłodnych nurtach potoku, przepływającego ogrody, — pełnego teraz różowych świateł ciał kobiecych, w których zgięciach falujących i zmiennych usymbolizował się wdzięk, mienienie, wieczny śmiech źródeł — —

Ślepy starzec lutnista, prowadzony przez pacholę, przystanął nad brzegiem, opiewając dzieweczki ukąpane w potoku, — równa je różom, rzuconym w fale rzeki Eurotasu —

Alkibiades spojrzał z ukosa na młodzienca, z zajęciem przechylonego przez mur, na który wyskoczył.

— Przyjacielu, — rzekł, — jeżeli istotnie postanowiłeś w swej wiejskiej siedzibie spróbować życia jako Faunowie leśni, — wybierz którą z tych pliszek. Jak uważam, nie zdają się budzić w tobie zbytniego wstrętu, — a choć to orzechy jeszcze zielone, ręczę ci, że potrafią być komedyantkami wcale niegorszemi, niż aktorka z zawodu—

Lykos namarszczył się zaraz — ale Alkibiades roz-

śmiał się młodzieńczo, oparł obu łokciami o mur i spojrzał mu w oczy:

— Dajno pokój! Wiesz, że cię kocham...

— Gdy ją ujrzysz, Charitę...

— Rad ci będę przyznać, że ją ziemia w rozkoszy zrodziła, — ale mogę cię zapewnić, że sama rodzić będzie, jak zwykła kobieta. A jeśli ty mnie zjawisz Charitę, — to ja ci ukażę samą Panią Kipryjską —

Lykos nie miał czasu odpowiedzieć.

Kilka starszych dziewcząteк, smukłych jak Tanagryjki, zbliżało się w tę stronę. Idą jedna za drugą, w stronę bielejącego pod murem posążku Erosa, — podobne Erseforom, nosicielkom rosy —

Biedny, mały, oślepiony dzieciak Afrodis — stoi tak opuszczony na kręconej, jońskiej kolumence!

Już skręcają na ścieżkę pod murem—przechodzą— —

Tamta z podwójną piszczałką grecką, — ta z kwiatem amaryllisu...

Profile tych główek helleńskich są zbyt poważne, aby nie miały wiedzieć, że są obserwowane —

Nagle jedna z najładniejszych podniosła wprost śmiejące się spojrzenie ku twarzy Lykosa — i pomknęła naprzód z lekkim krzykiem — —

Towarzyszki zwróciły się do niej z udanym gniewem:

— Myja!.. mucho utrapiona...

A potem spojrzawszy w górę — pierzchły także...

Ale nie przeszkodziło to mężczyznom usłyszeć półgłośnego szeptu:

— Jaki ładny! Czy on zowie się: „Er“ — wiosna?

— Nie — śliczna! zwę się Lykos. — Jak wilk nocą wyruszam na łup...

IV.

Z głębi morza — morza greckiego, które według Homera mieni się barwami wina i fiołków — — wyszła ona: Anadyomene—wynurzająca się...

Przyniosła ją do brzegu fala spieniona jak grzbiet delfina — i zstąpiła na ziemię.

Stojąc na ciepłym piasku nadbrzeżnym, pozwala osuszać swe różane, przezroczyste ciało—w jego najtajniejszych zgięciach — oszalałym ustom słońca i tchnieniom wielotysięcznego tłumu. —

— Fryne! Fryne! — szedł krzyk schrypły, jak pomruk tygrysa w parne noce —

Młody pasterz w tunice lnianej, w kapeluszu nakształt grzybka, opasany skórą baranią, przysłonił oczy jak olśniony; — nędzny rybak padł na kolana, szepcząc coś bezdźwięcznie; — ogorzały żeglarz witał gromkim okrzykiem to drugie słońce, wstające z łona wód; — dostojny pa-

trycyusz rzymski, niesiony w lektyce ponad głowy pospólstwa, utkwił iskrzące oczy w jej piersi, oddychającej światłem, — którą równocześnie starzec plugawy, w oznakach senatorskich, ssie spojrzeniem białych, rybich oczu —

Ona tymczasem strząsa wokół przecudnej twarzy obłok lotnego złota i wlokąc go za sobą przez powietrze, jak długi szlak światła, — zwolna iść zaczyna — —

A gdzie przeszła — Niepokalana — Afrogeneja — z pian urodzona — — milkł jęk żądzy — i szedł tylko śladem jej stąpania szept uwielbienia:

— Chryzeis — Ty, złota, złota...

Tylko z pośród kolumn doryckiego portyku, zajmowanego przez Zenona i jego uczniów, widnieją brunatne chitony i płaszcze stoików, — i razi chłodem ich wzrok obojętny. — —

Rzeka Adonis toczy wody różowe od krwi zabitego kochanka Złotowłosej, — wśród gaju mirtów starych, których cień śliczny przyjmuje w siebie Kiprydę, idącą opłakiwać zgon Ulubionego —

Nikt ze śmiertelnych nie może widzieć bogini w rozpaczy, nikt za nią podążyć wyciętą w gąszczach ścieżką, u której końca stoi biała świątynia:

Na piedestale jaspisowym jaśnieje zdala posąg tego, co się zrodził z drzewa myrrhy, — pana, kochanka Persefony, która zatrzymuje go na swych łąkach krwawnikowych, zroszonych białemi łzami asfodeli...

Ciało Najurodziwszego utoczone z kości słoniowej, draperye z matowego złota.

Bogini wstępuje po stopniach do wnętrza świątyni — i zaraz białe zasłony, na obręczach z kości zawieszone między kolumnami, zasuwają się za nią — —

Wtedy kobiety zgromadzone u wejścia do gaju świętego poczynają biegać dookoła z głośnym jękiem, targając włosy, — podczas gdy chór mężczyzn, z narzędziami

muzycznemi w ręku, silnemi głosy rzuca w przestrzeń hymn do Zeusa —

Trigonon i flet frygijski, syrinks i cytara — zgodnie wtórzą rytmicznym strofom męzkiej pieśni, — domagającej się dla miłości — powrotu szczęścia...

Zapadł już matowy, fiołkowy, pachnący zmrok, — gdy białe zasłony rozsunęły się ponownie:

Ale posąg Adonisa znikł za tumanem jakiejś mgły złotej, — a na tem tle, u stóp cokołu, rysuje się nieruchoma, prześliczna postać bogini, której uśmiech wita kogoś dalekiego...

Za kierunkiem jej uśmiechu obracają się spojrzenia tłumu — i tam, gdzie metalowy dysk księżyca tkwi wbity w krąg niebios, — ujrzano występujących z czarnego lasu stuletnich wawrzynów dwunastu nagich młodzieńców, z formingami w ręku —

W rzędach po trzech idą ku świątyni, strząsając po drodze ze strun cyter z metalu i kości oną pieśń, którą stworzył Orfeusz, wyprowadzając Eurydykę z ciemni Erebu — —

Oto mocą tęsknoty przywołany z łąk Elizejskich, wraca Adonis — pan — utajony między towarzyszami —

Bogini wyciąga ku Umiłowanemu ramię świetlanę:

Za wstępującym do wnętrza zapadają zasłony, — tym razem na całą krótką noc wiosenną, — dostatecznie przecież długą, by w niej zamknąć i wyczerpać całe życie miłości — —

Z pozostałych jedenastu młodzieńców, jeden z jękiem rzucił formingę o kamień — i kładąc na głowie zgięte ramię gestem rozpaczy — biegnie ku morzu...

Słone fale przepływały za chwilę nad młodem ciałem, — jego żądzą i zawiedzioną nadzieją — —

V.

Tułacza komedya z italskiej krainy Etrusków zatrzymała się w małym lasku na Kiprze, korzystając z Adonyj, które tłumy ludu na wyspę zgromadziły.

Amfiteatr stanowi murawa. Kilka połamanych kolumn i kawałek mozaikowej posadzki, na której nimfa arkadyjska Syrinks zmienia się w trzcinę przed pościgiem Pana, — pozostałe ze zrujnowanej świątyńki tego leśnego bożka, służą za improwizowaną scenę dla biednej, tułaczej drużyny artystycznej.

Przedstawienie ma się właśnie rozpocząć. Publiczność zebrana, nie wykwintna wcale, posila się zimną rybą i świeżemi figami. Kobiet niewiele, — zarówno scena, jak sala widzów, jest dla Greczynek zamknięta. Ledwie kilka wyzwolenic lub zalotnic dostrzedz można między tłumem, — za to mężczyzn, młodych i starych z wyższych sfer — nie brak.

Histryoni w maskach komicznych, bez koturnów, używanych tylko do tragedyi, w chitonach nieco dziurawych, — krążą wśród tłumu, rzucając sarkastyczne uwagi i zwroty.

Teraz schodzą się aktorki. Idą jedna za drugą, w jasnych, kolistych płaszczach i sandałach z pachnącego drzewa.

Młode komedyantki są bez masek, — natomiast mają peruczki płowe lub czerwone — i barwiki na uśmiechnionych twarzach.

Przedstawienie rozpoczęto. Graną jest Lizystrata, komedya Arystofanesa.

Alkibiades i Lykos stoją nieco na uboczu, pod cienistem drzewem myrrhowem.

— Czy ona tu jest?

— Nie... — odpowiada Lykos niepewnie. — Nie widzę jej —

— Czekajmy końca przedstawienia, wówczas dowiesz się. Teraz zaś, radzę, oddalmy się trochę. Grają licho. W dodatku, niepokój twój staje się widocznym. Martagon i Leukippos od chwili rozmawiają o tobie.

Usunęli się w cień gaju, idąc nieznanemi ścieżkami. Lykos jest ponury i patrzy w ziemię.

Z boku, między młodemi pniami, mignęła bursztynowa główka, oblana smugą świetlną, — i zaraz znikła, jak jej własny uśmiech — —

— Słuchaj-no, Niobido, — rzekł Alkibiades, pociągając towarzysza za tunikę, — czy twoja Chloe ma długą rzęsę złotą?

— Zdaje się tryskać z jej oka jak promień światła...

— A skórę ma różową?

— Mówiłem ci już, że ciało ma utkane ze światła, róż i mleka. — Jest tak wiotka i przezrocza, jak figurka wyrzeźbiona w blado-różowym wosku, jak...

— Dobrze, dobrze... Powiedz mi jeszcze, czy jest wesoła i ma oczy ciemne?

— Jak fiołki... Złoty uśmieszek igra zawsze na jej ustach, wygiętych w łuk Erosa.

— Tedy szukaj swojej Hamadryady w tych gąszczach, bo mi tam coś mignęło — mdłego, cienkiego i nikłego — jak wrażenie z twego opisu —

— Alkibiadesie! — zawołał z wyrzutem młody człowiek, ale równocześnie poskoczył we wskazanym kierunku —

— Śpiesz — i niech cię prowadzi Nike...

Alkibiades z uśmiechem zawrócił także w tę stronę, — ale szedł powoli, ociągając się i przystając po drodze.

Kiedy ich wreszcie dostrzegł — Lykos stał przed młodą dziewczyną, naprawdę wdzięczną jak wiosna, — której z ramion opadł jasny płaszcz — i w której uśmiechu chęć pierzchnięcia walczyła z innem jakiemś wrażeniem —

Młodzieniec trzymał piękną głowę nieco przechyloną i deklamował po łacinie:

— „W inną ode mnie odwracasz się stronę — gdy cię nie ujrzę z towarzyszek rojem — oczy twe stają się wnet zalęknione — i duże, — patrzysz na mnie z niepokojem...“

W tej chwili Chloe krzyknęła lekko i wznosząc, jak gołąb, ramiona, porwała się do ucieczki — gdy Lykos, obejrzawszy się szybko, przytrzymał ją za rękę:

— „...Schodzisz mi z drogi...“

Tu Alkibiades mu przerwał:

— „...przeto nie łaskawsze — są dla nas oczy twe od sarnich oczu, — tak łania wprzódy, nim umknie na zawsze, — złotem w zieleni błyśnie na uboczu. — Płochliwą-ś sarną jest, która zbłąkana — bez matki, sama pomyka

w bezdroże, — przed szmerem liścia drży... drżą jej kolana... — i gadu szelest zatrwożyć ją może..."

Lykos podjął:

— „...Przebóg! dziewczyno... Jam nie zwierz dziki, co zaszedł ci drogę, — w którego paszczy krwawe łupy giną, — jabym ci szczęścia więcej, niż dać mogę, — dał!.."

Alkibiades kończy:

— „...Przeto mówię-ć i słuchaj tej rady: — niech cię strach próżen przed nami nie płoszy, — za matczynemi nie chodź ciągle ślady — boś już dostałym kwiatem dla — rozkoszy..."

Dziewczyna stała cicho — czarem poezyi zdjęta — póki ostatnie nie przebrzmiały słowa... Teraz zaś zgięła się w łuk i wymknęła z rąk Lykosa, wprzód nim się spostrzedz zdołał —

Ale Alkibiades zwinnym skokiem zastąpił jej drogę:

— Wstrzymaj się, Różanopalca,— i nakłoń ucha, abym ci opowiedział myt boski, który znać będzie ci pożytecznem. Żył raz na ziemi pewien rodzaj istot, które nie znały miłości. Potęga i wolność była ich udzialem — a własna moc upoiła ich jak wino — i Zeusa za pana uznawać nie chcieli. Wtedy Gromowładny rozdwoił ich tak, że z każdego stworzył mężczyznę i kobietę, i zesłał na nich miłość. A od jej żaru skruszyła się w nich siła i boska pogoda, i padli w proch u stóp pana hyacyntowych kędziorów. Ściągnął wtedy bóg do swego boku błyskawicę karzącą i dozwolił, by się w miłości łączyli, — a tak odzyskali siłę i szczęście. Nie godzi się przeto, dziewczyno, wyrokom Zeusa w poprzek stawać, ani gniewu jego ściągać na siebie —

— Co mam czynić? — szepnęła blada —

— Poddaj się miłości!.. — usłyszała ten sam głos, obezwładniający serce —

— I zezwól, Charito... — gorąco wpadł mu w słowo Lykos — abym, nim trzykroć Apollo przejedzie strop niebios na słonecznych rumakach, — przyjechał po ciebie na mym wozie, zaprzężonym w cztery białe źrebce, i uwiózł cię do mego wiejskiego domu, z przezroczystym ciennikiem, nakrywanym chłodnemi gałęźmi orzecha, — gdzie ściany wnętrza malowane sandyksem i oświetlone terrakotowemi lampami czekają pachnące na swą śliczną panią, — gdzie włożę ci na palec pierścień opalowy i gdzie pierwszy płomień zaniecisz na naszem ognisku—o! moja...

— Eheu! Masz nielada talent krasomówczy, Lykosie. Z tem wszystkiem, czy naprawdę sądzisz, moja ładna, że temu Narcyzowi nie będzie do twarzy w wieńcu z bluszczu i akantu, w szafranowych sandałach bożka Hymenu i z pochodnią z barwionego wosku? Ależ zapewniam cię, że łydki ma niegorsze, niż ów dyskobol biegnący z gałęzią oliwną w amfiteatrze w Olimpii, — i że na konkursie męzkiej piękności, urządzanym w Arkadyi, otrzymałby z pewnością pierwszą nagrodę —

Chloe patrzy wielkiemi przerażonemi oczyma w twarz Alkibiadesa. Gdy umilkł — wyjąkała:

— Ktoś ty jest?

Uśmiech pełen swawoli przemknął mu po ustach:

— Hermes Psychagog — kierownik dusz...

Skłonił jej się — i jak się zjawił, tak nagle znikł w gęstwinie.

Idąc z powrotem ku teatrowi, widział w myśli źródło Kallirhoe, do kąpieli przedślubnych, tryskające z pod skały z łomami marmuru, — gdzie na kawałku wygładzonej ściany rzeźbiarz wykuł w płaskorzeźbie dziewczynę tańczącą z uśmiechem przed bogiem rozkoszy i płodności —

Chloe tymczasem ochłonęła ze zmieszania, w jakie ją wprawił obcy; radosna jak dziecko, zarzuciła oba ramiona na szyję Lykosa i zauważyła ze śmiechem:

— Wiesz? to przecież zupełnie tak, jak w komedyi Antyfanesa...

Potrząsła rozpierzchnięte wokół różowej twarzy jasne włosy, nawpół uwięzione w siatce złotej:

— Pan — ujęty wierną miłością niewolnicy, bierze ją za żonę — taką szczęśliwą! Taką bardzo szczęśliwą — jak ja!

Śmieje się promiennym śmiechem, w którym igra młodość jak słońce, — istna wcielona różowa komedya...

VI.

W Atenach, w olbrzymim teatrze o ścianach z marmuru czarnego, przerzniętych gdzieniegdzie błękitną żyłą, jak gdyby były rozłupane błyskawicą, — przez długi szereg miesięcy zamkniętym głucho na miedziane bramy z płaskorzeźbionemi fryzami, — otwarto z wiosną scenę dla Eschylowskich posępnych mytów.

Wśród ciemnego przepychu wystawy, — aktorzy płaceni krociami, — występujący na koturnach, wznoszących ich na poziom nadludzki,—i w metalowych maskach, potęgujących głos do siły nawałnicy, — rozpoczęli szereg ponurych tragedyj, gdzie człowiek wyolbrzymiony walczy i pada w tytanicznej walce z surową, nieodmienną Ananke.

Dotąd dano już w szeregu przedstawień: Siedmiu wodzów pod Tebami, Eumenidy i Prometeusza.

Aspazya i Alkibiades nie opuścili żadnego.

Po przedstawieniu wracali razem do jej marmurowego domu, gdzie, nim chłód wieczoru i wczesnej wiosny zaczął przejmować im członki, przepędzali godziny, leżąc na kitrosowych łożach, przy trójkątnych srebrnych stołach, zastawionych przez kucharza z Sybaris, obok wysmukłych kruż z winem,— przeciągając spoczynek i rozmowę, wśród płynących z ogrodów ech dziwnych pieśni obcych niewolnic o oczach smutnych jak u zranionej antylopy, — albo przy widoku majaczącej wśród zmierzchu rozkosznej „romeiki“ Atenek, co zdala dawało złudzenie, jakby jońskie posągi z oślepiająco śnieżnego marmuru opuściły swe piedestały, łącząc się w koła taneczne.

Gdy tęsknota przejęła im ciała, szli do tajemnej, złotej sali Hermafrodyty, pełnej rzeźb lubieżnych,—gdzie oślepiająca rozkosz łączyła na chwilę ich byty tak dokładnie, jak ową nimfę i półboga, — poczem Hypnos na krótko przymykał im powieki lekkim i czystym snem.

Gdy się zaś ocknęli, pełni radosnej pogody z posiadania wzajem czegoś doskonałego, — poczynali się przechadzać zwolna po posadzce z elektronu, pod którą spodem przechodziły rury z gorącą wodą, — tak, że rozgrzewając się roniła zapach, działający jak pieśń Anakreonta — —

Albo też stawali oparci o siebie, jak dwoje bogów, o głowach nieco za małych, jak u posągów, — a Psyche ich, oswobodzona od tęsknoty i szału zmysłów, zapalała im na ustach myśli skrzydlate...

Czasem w te noce ateńskie, Alkibiades ujmował małą lirę siedmiostrunną i przy jej wtórze śpiewał jaką pieśń lesbijską —

Tak właśnie dzisiaj legł u ubóstwionych stóp kochanki, siedzącej w marmurowem krześle — złożył głowę na jej kolanach — i patrzył w jej białą, cudowną twarz, gdzie złota jasność ócz wilgotnych pali się w ciemnych głębiach, jak światło podwodne...

Płomienna bladość jego nagiego ciała lśni matowo śród złotych przymgleń — —

Kobieta ma na sobie delikatną tkaninę barwy złotej, głęboko osuniętą z ramion, na głowie złoty kask kochanka z Chimerą, rzucający cień na jej profil nieruchomy —

— Aspazyo — przemówił po długiej chwili milczenia — dobrze uczyniłaś. Gdyż chcę cię mieć bez przerwy i zawsze z tą dziewiczą, nieskażoną piersią, bez brunatnej obwódki macierzyństwa, — dopóki cię nie znudzę lub ty mnie, — gdyż człowiek jest zmianą, jak mówią sofiści —

Aspazya odpowiada:

— Zapewne mają słuszność. Nie broni nam to pomarzyć kapryśnie. Życie jest marne. Kazałam ukrzyżować dziś niewolnicę, ponieważ przekonałam się, że kochała cię skrycie. Zazdrość ugryzła mnie w serce jak gad. A teraz jesteś mi obojętny, jak pierwszy przechodzień. Za chwilę będę cię jeszcze pragnąć. Ale przyjdzie dzień, w którym pragnienie wyschnie, jak źródło. I twoje życie niemniej marne. Te zwycięztwa, które niosą ci sławę, nie są niczem lepszem od twych szaleństw, które ściągają na twą głowę potępienie. I wkrótce znudzi cię jedno i drugie...

Alkibiades rzekł, nie zmieniając postawy:

— Epikur twierdzi, że bogi, w które zresztą wierzy, mają ciała i mózgi utworzone z atomów wytworniejszych, niż wszyscy śmiertelnicy. Gdyby tak było, to ty zapewne jesteś boginią, gdyż nie spotkałem takiego ciała na posągach, ani takiej mądrości w wyroczni delfickiej... Ale w tej chwili nie mogę odczuć twych słów, gdyż czuję w sobie życie samo, jak łuk Herakla drżący... Czy ta niewolnica już umarła?

— Zapewne. Ukrzyżowano ją przed zachodem.

Alkibiades zbierał z posadzki rozsypane złote laki —

— Tyś jej dała śmierć — ja jej zaniosę te kwiaty...

Wziął płaszcz i wyszedł z sali — —

W długą chwilę powrócił bez niego i zajął poprzednie miejsce u nóg Aspazyi, która także pozy nie zmieniła —

Czas jakiś trwa milczenie, — kobieta przerwała je pierwsza:

— Żyła?

— Tak. Ale wszelkie siły ją uszły i, opuściwszy na piersi głowę, tak białą, jak jaki biały kwiat, zdawała się już umarłą. Lecz gdy podszedłem do jej stóp z kwiatami — poznała mnie i imię moje wybiegło na jej umęczone usta. Zdjąłem ją wtedy z krzyża i kołysałem na ręku... Nie mogła już mówić, ale oczy jej patrzały na mnie tak, jak na boga. Powiedziałem jej — że ją kocham... Wtedy z tych oczu biednych trysły łzy. — Umierające jej ramię siłą miłości — bo nie fizyczną — owinęło mi szyję. Zaraz potem zaczęła mi zasypiać na ręku jak dziecko — i tak cicho umarła.— Złożyłem ją naszem łożu w portyku, przykryłem moim płaszczem i złote laki położyłem jej na sercu — —

Aspazya milczała.

Alkibiades podjął:

— Przeżyłem chwilę czaru. — Więc znów dobrze zrobiłaś, żeś dała na śmierć tę dziewczynę. Gdyż może prawdę rzekł Epikur: że jedynem dobrem życia jest rozkosz i zgon.

Uśmiechnął się do siebie rozmarzająco — i odchyliwszy głowę, począł jak pierwej patrzeć w twarz kochanki —

A w jej głębi powstawała właśnie żądza, — ciemna i śmiertelna, jak zaraza...

Ale nie wyrzekła słowa.

On tymczasem mówił znowu:

— Sądzą o mnie, że podlegam ataumazyi — tak dalece nic nie jest w stanie mnie zadziwić. A przecież nieu-

stannie podziwiam ciebie. Jesteś jak anamorfoza: rysunek, przedstawiający się z każdego punktu inaczej... Kiedy dla ciebie dawałem kuć posąg, — byłaś mi naprawdę wszechmądrą Palladą; — kiedy na twych posiedzeniach zabierałaś głos w dysputach artystów, — nazywałem cię Dyaną Efezką, o tysiącu piersi; — kiedy w nocach rozkoszy jawisz mi się niekiedy w swej nieogarnionej potędze kobiety pożądanej, — dusza klęka przed tobą, jak przed złowrogą Hekate, boginią nocnych strachów i czarów. — A teraz, gdy patrzę na twą twarz, w złotym cieniu mego hełmu, — oślepiony zwę cię Chimerą... Ofiaruję ci dyamenty — pyszne i straszliwe, jak twoje oczy, bliźniacze gwiazdy Dioskury —: wróć światło mym źrenicom, gdyż nic — prócz ciebie — nie widzą...

Kobieta z przeciągłym jękiem zarzuciła ramiona na szyję kochanka —

A on poddał ją pieszczotom rafinowanym, opartym o szaleństwo, grał na jej ciele, jak na harfie, rwąc najczulsze wiązania nerwowe — miłość czynił muzyką...

E. Łuskina.

RÓŻE.

ARS EPHEMERA.

(Miłośnica.)

Jako ofiarna będziesz czara
Purpurą młodej krwi dymiąca,
Jak żywa lampa gorejąca
W nawyku głuchych katakumbach!

U miłosnego źródła mocy
Szukając lampie swej oliwy,
Wyrzeźbisz życie w posąg żywy,
W młodości nagość i posągu!

Zwierciedląc słońce w grobowisku,
Jak słońca wolą — sobą mowna,
Twem życiem — życiu orędowna,
Jak kwiat wytryśniesz na pustyni!

I padniesz, młody pąk zerwany,
Dyszący śmiercią kwiat weselny,
Ty symbol życia nieśmiertelny,
Na uczt życiowych gnuśne stoły.

I będziesz — „szczęścia obietnica,“
Jak róża w pąku zadrzemana,
Cudzemi wargi potargana
I cudzym jadem zwiędła w pąku.

(Marzenia.)

O, cieplarniane blade róże,
Wy próżnej troski puste wiana,
Ta śmierć leniwa cnotą zwana
To płonnych kwiatów życie płonne.

Bo tem jest kwiatu czar śmiertelny,
Tem jest pąk ducha grzechem żywy:
Dla ziarna — zguby własnej chciwy,
On życiem, śmiercią siemię stwarza!

Więc nie płacz, śmiej się, miłośnico,
W śmiech wszystkich piekieł potępieńczy:
Tak w łachman życia — życie wieńczy
Marzenia kształt niepokalany...

(Fale.)

Słoneczną my rodzone wolą,
W otchłaniach czasu wciąż tonące,
Tęczowych rzeczy tęcze lśniące:
My kwiat i czerw i siemię razem.

Hen od wieczności idąc proga,
My fale bytu wiecznie wrotne,
Miłości moce wszystkokrotne:
My życie, grzech i śmierć pospołu.

Słonecznej woli na obiatę
Twą czarę życia grzechem pienną,
Tę tęczę rzeczy wiecznie zmienną,
W otchłaniach czasu zatopimy.

Zaś z tęczy onej duchem snute
Miłości moce wszystkokrotne
My fale bytu wiecznie wrotne
Hen do wieczności zniesiem proga.

ARS AETERNA.

(S-ta Clara ad S-tum Franciscum.)

O krynico ty wieczysta,
Krwi odkupnej święte wino,
Duszo winem tem pijana,
Sztuki matko i przyczyno,
Ducha siło promienista,
Studnio moja niezmącona,
O RADOŚCI!.. O RADOŚCI!..

Najjałowszej smutnej roli
Urodzajna roso święta,
Kwiecie z ciernia w czole Pana:
Lilio woli niedraśnięta
Cierniem krzyża i niedoli,
Gdy mi radość w życiu kona,
Radość w skonie niech zagości!



Serce dziecka się rozpęka
Jak skarbnica ofiar krwawa;
Ta obiatna, słodka męka
Tobie, siewco, plon oddawa.

Twego siewu — nasze dary,
Jako hostya w wardze dzieci,
Słowo proste, słowo wiary
Wskroś niech serca nam prześwieci!

Serce nieme w piersiach boli.
Sięgnij, Siewco, po to serce!
Rzuć radości Twej niewody,
A nam wszystkim w poniewierce
Na Odrodzin ześlij gody
Róże ducha, lilie woli!

(S-tus Franciscus ad S-tam Claram.)

Tu róża twa dogasa już,
W popiele serc na pylną murz
Wnet wytli się płomienny pąk:
Czerwony kwiat z marzenia łąk
Życiowy wnet zasypie kurz.

Golgoty sen kto duszą śnił,
Z Chrystusa ran pragnienie pił,
Na krzyż się swój oddawszy rad,
Pożogi skrę ten nieci w ślad.
...Kto zna swą moc? swych źródło sił?!

Tajemnic pąk! z Golgoty kwiat!
W płomieni siew zapłodni świat,

W Odnowin dusz czyscowy wir
Dziecięca skra w próchnicy czyr!
...Kto przyszłość wie? Kto jutrznię zgadł?!

(Geniusz żebraczy.)

O gaya saber! — *kunszt radości!*
Weselnej sztuki gędźbo cicha,
W pogrzebnym dzwonie ton twój czyha,
W kostnicy duch twój dzisiaj gości.

Roztęsknień nutę w dzwonów granie
I surmy głuche w psalm rozpaczy
Powplatał geniusz ten żebraczy,
Co — życiu wieścić zmartwychwstanie —

Na wszystkie wlecze się cmentarze,
By przy stypowej smutku czarze
Pijanym śmiechem być w pogrzebie;

Potargać szydem kir żałobny,
Podeptać w tańcu świeże groby:
„To ziarna! — ziarna! legły w glebie!..“

Wacław Berent.

SYN CZŁOWIECZY.

Czy ty mi byłaś kiedy ukojeniem
I moją ciszą czy ty byłaś kiedy,
Wieczorna ciszy rozkwieconych łąk,

Co pachną w cieple zmierzchów bladozłotych,
W godzinę smutną gasnącego słońca
Za poczerniałą kolumnadą drzew?

Czy ty mi byłaś kiedy ukojeniem
I moją ciszą czy ty byłaś kiedy,
Ciszy zamierzchłych, zasępionych dni,
Kiedym wybiegał w pola zbóż kwitnących,
Na moje bujne, rozległe zagony,
Pić chłód oparów i ziół mocnych woń?

A gdy mój oddech skwarny, przyśpieszony,
W jedno się zlewał z mokrych pól oddechem,
Z oddechem mokrych i pachnących pól,
Które mię brały w ogromne objęcia,
Jako skazaniec bierze krzyż w ramiona,
Na umieranie, na mękę, na śmierć —

A kiedym na twarz padał w prochy ziemne
Przed męki ludzkiej potwornem zjawiskiem,
Głusząc zlęknionej duszy mojej krzyk,
Który z krwią serca bluzgał mi na usta,
Złączone w długim, zimnym pocałunku
Z wargami trupio wykrzywionych bruzd —

A gdy tak ziemia podała mi usta,
Nabrzmiałe wiecznych rozkładów stęchlizną,
Bym z nich śmiertelne sny o życiu pił —
Czy ty mi byłaś wtedy ukojeniem
I moją ciszą czy ty byłaś wtedy,
Ciszy zamierzchłych, zasępionych dni?

Tam — widzę złote, wielkie, bezprzestrzenne

Moich pól zżętych umarłe ścierniska
W bladej przestrzeni, pokąd sięga wzrok,
I widzę łąki, rdzą śmierci przeżarte,
Pełne ziół zwiędłych o barwie przegniłej,
I step podartych, podeptanych traw.

I pomnę chwilę świętej tajemnicy,
Którą moc ciszy czyniła nade mną
W jasnej bezbrzeży spustoszonych pól.
Wtedy mi duszę porwał ból odwieczny
Przeistoczonej w rozpacz wszechmiłości
I obłęd twórczych, rozpętanych sił.

Więc tak mówiłem śpiesznie, bez oddechu:
O, rzuć mię ciszy w martwość zwiędłych kwiatów,
W śmiertelny bezwład odpocznienia rzuć!
O, daj mi wrosnąć każdą tkanką ciała
W stygnący zagon tej mogilnej ziemi,
I każdym nerwem, każdym skrzepem krwi!

Więc tak mówiłem śpiesznie, bez oddechu:
Z tajemnem źródłem roślinnego trwania
Daj mi ślub wieczny na życie i śmierć,
A za grób, wspólny z zielskiem, co usycha,
Daj mi obszarów polnych bezgranicza,
Po których wichry rozniosą mój proch!

Bo otom spróchniał aż do głębi serca
I niemasz we mnie nic — jedno popioły,
Gdy spłonął duszy gorejący krzew.
A wichry wstały wyciągając skrzydła…
A dzień ku ciemnej wieczności się chyli
I już dogasa mój ostatni dzień!

Po rozkwieconych łąkach i zagonach
W złocie wiosennych zmierzchów Chrystus chodzi,
W świetlistej szacie chodzi wszerz i wzdłuż,
A kwiaty chłoną mękę Jego czoła,
Łzy Jego oczu piją zamiast rosy,
Miast słońca nikłą zgasłych oczu jaśń.

A On kwitnącej błogosławi ziemi
O takiej smutnie zamyślonej porze,
Kiedy na niwy pada ciężki zmierzch,
A Jego ręce — długie, zwiędłe ręce,
Jako u ślepców, w przestrzeń wyciągnięte —
Na ścieżkach nagich złoty ścielą blask.

A idzie wolno i zbóż nie roztrąca,
Co w mgle dymiącej stoją wytężone,
Objęte ciszą skamieniałych snów,
I kwiatów polnych szeroko otwartych,
Jak oczy w otchłań tajemnic zwrócone,
Nie depce, idąc, i nie łamie traw.

A idzie Chrystus równym, polnym szlakiem
W dal oniemiałą, w bezmiar chmurnej nocy,
Na pustej równi ociemniały kres,
A za Nim idzie męka wszechczłowiecza,
I męka moja w Jego ślady idzie,
Wlokąc za sobą zwiędłych skrzydeł cień!

I słyszę w sobie krzyk pragnącej duszy:
O, Chryste, Chryste! czemuś mię opuścił?
Na jedną chwilę w moje pola wróć!
Straszno bez Ciebie żyć — i tak samotnie,
I taką pustkę głuchą dookoła
Za towarzyszkę dni niezmiernych mieć!

I słyszę w sobie krzyk pragnącej duszy:
Straszno bez Ciebie i żyć i umierać
Duszom, co miały żórawianą moc
Z wyciągniętemi na wschód lecieć skrzydły
I burzyć czarne, zastygłe jeziora
Sykiem na wichry rozpostartych piór!

A On odchodzi równym, polnym szlakiem,
Jasny jak wierzchy drzew o wschodzie słońca,
Wtopione w bryzgi złotopłynnych zórz,
A za Nim idzie męka wszechczłowiecza
I męka moja w Jego ślady idzie,
Wlokąc za sobą zwiędłych skrzydeł cień!

Spłowiał zmierzch złoty. Na pożółkłem niebie
Czernią się zdala drzew przydrożnych plamy,
Owdzie zwał w cieniu skamieniałych strzech,
Co, osypiskom mogilnym podobne,
Tak Chrystusowi zasmuciły duszę,
Gdy się rozglądał po równinie wstecz...

Stanął. Znów idzie. Teraz mokre kłosy
Od strony wschodniej zabiegną Mu drogę
Całować brzegi jaśniejących szat
I, płacząc w ziemię łzami mgły skroplonej,
Do stóp Mu padną: Bądź miłościw, Chryste!
A On odchodzi w ciszę, w bezmiar, w noc.

O, bądź miłościw, Chryste, smutnej ziemi,
Ciężarnym kłosom, kwiatom, które więdną,
I duszom zmarłym litościwy bądź!
I duszom, które widzą śmierć przed sobą
I zasmucone idą w przemoc śmierci,
O, Chryste, Chryste, litościwy bądź!

A Ty odchodzisz? depcąc ludzkie ręce,
Co się ku Tobie zewsząd rozpostarły,
Ze wszystkich krzyżów na padole łez?!
A ciemność rzucasz w oczy tym, co patrzą...
Na wypłakane oczy żwir mogilny
Nie upadł nigdy bezlitośnie tak!

Na wypłakane oczy — Chryste, Chryste!
Na zwiędłe serca zaklinając Ciebie,
Wołam: W bezmiary moich pragnień wróć!
A cisza polna tak mi odpowiada:
To było widmo tych dni, które przeszły,
To było widmo niepowrotnych dni.

Michał C. Bielecki.

NA WIEJSKIEJ DRODZE.

Już mrok szemrze, już przypływ nocy grać poczyna;
Już się w nirwany mgłe zachodnia łuna żarzy,
Już wschodzą okna chat i lśnią, jak rój lichtarzy,
Już idą chóry gwiazd, już bije ich godzina.

Więc już... Wieczności rytm — nic więcej się nie zdarzy,
Nic, tylko złotych gwiazd świetlana pantomina,
Nic, tylko nocy szum, oddali głębia sina,
Tylko miraże lśnią śród nocy w kształt witraży.

Noc rośnie — idę w dal — tam świerki płaczą szumnie,
Szemrzą rzeźbione w rym festonów, jak na drodze,
Po której idzie tłum i niesie wieszcza w trumnie.

Przede mną księżyc lśni — dal skryta — idę w trwodze...
Coś równolegle zbyt... tej drogi brzegi płyną —
Czyżbym ja w Wieczność już tą wiejską szedł drożyną..?

* *

Huragan gwiazd—jak parno—wichr dmie, skrzypią drzewa—
Coś oddech mi urzekło—ten wichr ma w ustach żar—
Za mną przebyta droga mknie w kształt złowrogich mar—
Jak światłocieniów żgło wichr szarpie noc i zwiewa.

Gdzież pójdę — niewidzialny proch pędzi w nocny skwar,
Tnąc w oczy szczerbi wzrok i lustro widzeń ściewa;
Jak przez rozbite szkło, dal, świerki, gwiazd ulewa
Przelewa się rytmicznie do powiek drżących szpar.

Wichr dmie — gdzież idę, gdzie — do chaty — ale po co —
Jam jest przydrożny słup: mnie stać na drodze nocą;
Po moich spojrzeń strunach rozpiętych szczytem drzew

Drży prąd z Wieczności stacyi, mknie Znikomości wiew,
I tętni w krwi i sączy apatyi łzy zamroczne — —
I cóż mi z chaty, cóż — ej, tu na ziemi spocznę...

KOLENDA.

Słyszę, w tętencie godzin noc pada z szelestem;
jak przeczułem, o gwiazdy dzwon błękitów trąca;
idę w świerkowych lasów rzeźbionej katedrze,
w cieniu gotyckich stalli szukam zapomnienia;

przez cudowne poema szpilkowych gałęzi
przezrocza toń błękitów gwiazd źrenicą wgląda.
— cicho — oddech zamiera — dreszcz przeszłości czuję —
co to — w poszumie wiatru składam ton piosenki —
Kolenda — tak — chcę, pragnę schwycić ton jej prosty —
I marzy mi się wieczne Boże Narodzenie: — —
Szumią wkoło choiny, szumią, boże drzewa,
świecą przybrane cudnie w gwiazd złociste cacka —
Więc jestem dziecko, dziecko... i wyciągam ręce
i dotykam gałęzi — gwiazdy w dali płyną,
drzewo w jesiennej fazie zadumane drgnęło
w tęsknocie mojej ręki, osowiałe, ciemne —
Jestem dziecko, ach, dziecko — gdzież moja piosenka...
Od dziecka kocham tylko z gwiazd uwite cacka.

Ludwik Eminowicz.

---

*

O nocy letnich szmaragdowe gaje
W srebrze księżyca —
Dyamentowe ruczaje,
Nad któremi śni
Karawanami mgły
Tajemnica —

O nocy letnich szmaragdowe świty,
Bladnięcia gwiazd —
Ciche z gajów powroty —
Nietoperze loty
Do gniazd —



O, ponad nocą brzask płonący śniado!
Chmur czarne włócznie,
Zgiełk dzwonny ros
Nad ziemi twarzą bladą —
U łona tej zimnej, śpiącej,
W jej kruczy spowite włos
Półsenne słońce — —

O noce letnie! o jutrznie!

* *

Oto mi z oczu spływa kraina, w której zjawiłeś się majem—
Oto w zakręcie żegna mnie dom,
W którym się zrodził i umarł nasz świat —
Oto mi z nóg ucieka ląd,
Zkąd, dzieci nieme, patrzyliśmy w dal —
Nazawsze odpływam ztąd —
Prądem znaczonym wśród fal wzrokiem dzieci —
Ach, w bezmiar wiedzie ten prąd!
I nie wiem, gdzie znaleźć w bezmiarze
Ten kraj, ten dom, ten ląd —
W które mi zstąpisz majem.

* * *

Uśmiechasz się z studziennej głębi moich snów —
Wykwita ku mnie, z otchłani dookolnych, uśmiech twój —
W zaklętem uśmiechu twego kole stoję niema —
Na dnie mej duszy leży, jak słońce w jeziorze —

Otchłani jestem dziecko: czarnej, smutnej;
W niebie szczęśliwem nie umiem kochać słońca.
Kocham słońce w jeziora mrocznej głębinie —
Uśmiech Twój —

* * * *

Zakołatałam do pustej chaty,
Do zrzuconego z gałęzi gniazda,
Do raju naszego wrót —
Może jesteśmy w tej norze głuchej —
Zakryte gniazdem ranne gołębie —
Może trwa w tajni cud?
Przez ciemne szyby zajrzałem z nocy —
Nie pusty dom nasz! płacz w nim i czar...
Łka niemą kłótnią tęskniące echo,
Całowań iskry wirują chmarą,
Błyskawicowy krąży się żar —
Spojrzenia tajne, milczące szały
Palą się złotem w pustyni ścian —
W framudze smukły krzyż z dyamentu płonie —
Na ziemi dymi się trumienny krzyż...
W błyskawicowem ścian zaklętych kole
Cień stoi smukły — pręży głowę wzwyż —
W cień, co mu z ramion schyla się do czoła —
W cień, co rękami rąk się jego chwyta
I w nieme żalem, w zachwycone usta
Całuje smukły cień...

* * * * *

Księżyca kryształowy, płynny mróz ściął ziemię

W czarne, ostre, po brzegach rozbłyskane cienie.
W bezmierną noc samotną, obcą, chłodną,
W tę głębię niebios podwodną,
W te dyamentowe mgły
Buchnęły tchem piekarnianym
I ogniem kuźni
Tysiączne okna i drzwi...
Na lodowate księżyca bezbrzeże,
Na wiekuisty przypływ bladych fal,
Na zgiełk żałosny od umarłych łąk,
Od księżycowych hal —
Zionęły pustką pośmiertną
Samotne nad miastem wieże
I opuszczone w niebiosach —
...W zwojach firanek na framug marmury
Chylą się ciężkie rozognione czoła
I sploty bezsilne rąk
Przed tym dokoła
Bezmiarem zimnej stali —
...Na zimny, nagły wiatr,
Ginący wilczym susem w morzach liści — —
Na płynną taflę lodu, która mrożąc pali —
Kładą się usta błagające, drżące
W zgubionem słowie
Serc, co już wszelkiej zbyły nienawiści,
Lecz ran zabliźnić nie mogą —
Ani dać skrzydla miłości spętanej...
Przed księżycowem, niemem w zenicie obliczem —
Tęsknota w piersi kagańcowej kracie
Płomieniem kłębi się, miota —
Z krat się wyrywa dziką ognia szmatą —
Płonącą żagwią krwi z śmiertelnej rany —
Najgłębszą iskrą żywota —
Drga szałem w chłodnej miesięcznej poświacie —

Drga chwilę — pjana życiem i zatratą —
Dymna — czerwona —
Rwąca się z mogił ku mogile —
Wichrem niesiona w bezdenne otchłanie —
Między tą czarną ziemią i tem modrem niebem —
— I kona, w prądzie księżycowym kona —
Tym samym wichrem, co ją niósł, zgaszona —
Gnając za wiecznym, w wieczność kroczącym pogrzebem...

CIENIE.

Przez jasne liście majowe
Idę daleko.
Trumny się za mną wleką
W ros lśnieniu —
Płowe —
Milczące trumny z cieniu.

W trumny ciche cienie blade,
Powiewne zwłoki —
Niedosłyszane echa —
Tułacze obłoki —
Twarzą ku niebu kładę —
Trup się uśmiecha. —

Ciagnę je gnuśnie na giętkiej
Rozkwitłej świeżo
Gałęzi białej pamięci —
Tak cicho leżą
Te smętki...
Po piasku suną bez śladu

Skrzydłem owadu
Z poblaskiem rozpierzchłej rtęci...

Marya Komornicka.

WIEŻA ŚPIEWAJĄCA.

Trąć rymów akord. Grają. O czem? O czembądź.
Zali powiesz, co płacze w dzwonów grze? w wód fali?..
Pchnąć w dzwon serce, w dźwięk duszę, najprościej, najśmia-
Dzwonią-ć, drżą-ć, jak kochanków głosy o czembądź. [lej—

Dzwon rozbujali. Jęknął. Drży splot krokiew, bali...
Dzwony zwą-ć do płakania gdziebądź, gdziebądź...
W dali gór białogłowych na turnie się piąć,
Gdzie bialej coraz, czyściej, i ciszej, i dalej...

O, bądź mi pozdrowiona, ciszo farnej stalli!
Biali mi w dzwon dzwonnicy niechby z wyżyn grali!
Spłyń, zalej mnie, melodyo, szumem turni! Zbłądź,

O, zbłądź do mnie, ty falo! Graj mi pieśń łez, żali!..
Hej! — zdjąć brzemię tłoczące w dół, i wzwyż lot wszcząć,
W rozpieśnionej oddali, wśród hal, mórz — gdziebądź!

Jan Lemański.

SZYMONOWI ZIMOROWICZOWI.
Elegia.

Gdy beznadziejny czekasz Libityny

I cichym żalem dusza się odzywa,
Myśl moja w twoje ulata krainy,
Ta sama boleść z piersi się wyrywa.
Tak! Niechaj blizkim sercami i drogim
Lat tyle blada doda Persefone,
Ile nam cięciem zabrały złowrogiem
Okrutne Parki i nieposkromione.
Z uczucia szałem i krwi wrzącą falą
Weszliśmy silni w ludzkie pokolenie,
A oto członki w gorączce się palą,
Niechybne śmierci jawiąc wybawienie.
Więc bądźcie zdrowi, współbracia żyjący,
I słodka w gaju żegnaj Filomele;
Idę, gdzie potok porywa mnie rwący,
Gdzie los przedwcześnie z przodkami podzielę.
Na cichej stanę Elizejskiej błoni,
Gdzie boska Luna nigdy nie zachodzi;
Tam czuła Psyche znajdzie mnie w ustroni
I wnet powiedzie, gdzie bytują młodzi.
Tam Cię odnajdę śród tłumu w tej chwili —
I pamięć wdzięczną przyniosę Ci z ziemi,
A twoja twarz się uśmiechem umili —
I pójdziem razem ścieżkami srebrnemi...

Mi. Ja.

UDERZENIA.

Są głuche duchów błędnych uderzenia,
są myśli parte, jednak wtrzymywane,
są tak bolące otchłanie MILCZENIA,
jak dusze ludzkie, w granity wkowane.

Jak myśl Aniołów, pełna potępienia,
o gwiazd skrwawionych uderza się ścianę, —
tak ducha mego cierpię uderzenia,
tak myśli bolą, które wtrzymywane — —

Chciwego ŁONA pożogą skalane,
padają w niże Drugiego Milczenia:
w posępnych pragnień nieukojną ranę — —

Są myśli parte, jednak wtrzymywane —
są głuche duchów błędnych uderzenia. —

SMUTEK ŻYCIA.

Śliskie, wilgotne macki potwora
na duszy mojej sny promieniste
wpełzły — — i płacze zwiedziona, chora,
jak Ty w godzinę śmierci, o Chryste!

Ohydne smutki idą z wieczora
przez okien trupie źrenice szkliste — —
pełzną wilgotne macki potwora
na duszy mojej sny promieniste — —

Smutna błazeńska szata upiora
zaściela kirem szlaki gwiaździste — —.
Sfinksy, dławiące werwę aktora,
kładą na duszy sny promieniste
śliskie, wilgotne macki potwora.



* *

Odumarli mnie w drodze moi przyjaciele,
bom szedł na Nowe Życie — w Krainy Zachwytu!
— pogrzebali się sami w prochu i w swem ciele — —
sam! sam jeden wyskrzydlam ducha w toń błękitu!

Ciężko mi..! W dół spojrzałem —: jak w czasie zakwitu,
ród ziemski barwą błyszczy — — Śmierć te kwiaty spiele!!
— Jam wieczny! przyszłość moja w Krainach Zachwytu!
— Odumarli mnie w drodze moi przyjaciele — —

TAK MÓWI PROROK:

Po długiej Nocy Martwych — cóż będzie dla Świtu
prócz łachmana? — Ten stleje. — Skry niemasz w popiele!
O! Wiecznego Żywota nędzni tępiciele!

Sam jeden iść musiałem w Krainy Zachwytu — —
Odumarli mnie w drodze moi przyjaciele — —

PSALM MOJEJ WIARY.

Za nic mam zmącone fale przeczuć ciemnych
i płytki śmiech bezdusznej nędzy tłumu:
ja Ołtarz nocą palę, w misteryach tajemnych
oglądam świat i patrzę w pełzanie Rozumu — —
— — A gdy oczy dławię i spalam Tobą, Niepojęty!
Tyś — Bóg mój, bo w bezkresy idą Twoje ślady,
że dłonie Twoje męczą, więc chwalę Cię, Święty!
Jak uczeń w mistrza, patrzę w Ciebie — blady — —
— — i sił — — sił mi braknie! — Szatan dawał skrzydła;
spłonąłem, bo „on“ Twoją odwieczną Tęsknotą!
Dziś z niczego buduję: larwy i straszydła

czerepy kładą — zmęczony jestem tą robotą — —
Ach, objaw mi się białą zorzą Cudu!
wymów twe SŁOWO nad ślepem dziecięciem!
— ja nie wiem — oracz jestem pełen trudu — —
dla Ciebie? — spal mnie Twem zaklęciem!!
a gdy w stosie poruszy się Feniks, Myśl Nowa — — !
— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —
— Czy mam klaskać, czy płakać, nie wiem *dzisiaj, Panie!*
— popioły rozgrzebuję — — — Lśni kropla rtęciowa!
— to z niemocy zrodzona łza — — za MYŚL nie stanie!
— — — — — — — — — — — — —
Za nic mam zmącone fale przeczuć ciemnych
i płytki śmiech bezdusznej nędzy tłumu!
Ja Ciebie szukam w SŁOWA misteryach tajemnych —
— Jużem stąpił w przedsionek płonącego tumu.

Jan Rundbaken.

MELANCHOLIA.

„La chair est triste, hélas, et j'ai lu
tous les livres."

Ostatnie słowa się złamały.
Zgasł na twych ustach uśmiech dziwny.
Za chmurę zaszło słońce złote
I zaszumiały w parku drzewa.
Powiędły bzy już i opadły,
A jeszcze nie zakwitły róże.
Paź zerwał struny swojej lutni,
Oczy królewny się zrosiły.
Wszyscy rycerze w zamku smutni.

Bohater zwątpił w swoje siły.
Trefniś w swej duszy ma tęsknotę,
Na łożu śmierci król wszechwładny.

Wszystko na ziemi już poznałem.
Żal mi, że nie mam troski żadnej.
Niczego nie chcę, nie dbam o nic.
— A więc skończona już rozmowa.
Smutne jest dziwnie twe spojrzenie.
Urwały się ostatnie słowa.
Okropna cisza jest dokoła,
Coraz to dłuższe, bledsze cienie.
Zginął mi w duszy obraz słońca.
Zagrały liście i szuwary.
Boję się tej melodyi końca.
Powoli mrok zapada szary.

Władysław Tatarkiewicz.

Tyle chwil zgasło — wszystkie z niebios rodem —
W których Bóg sercu spełnić dał marzenia...
Czemuż ta jedna wciąż się wypłomienia
Z mózgu, wciąż błyska okiem wiecznie młodem?

Chwila, gdy mi się wydarłaś z ramienia,
Dziewczyno, mlekiem płynąca i miodem!
Chwila — jak wulkan wrzący duszy spodem —
Wściekła od wstydu, zemsty, rozżalenia!

Czyż mogłem wiedzieć, że ten żal utraty

Wyskrzydli z serca taki blask bogaty?
Tylem zapomniał ust, sycących miody —

A niezdobyta zmysłów twych ponęta
W ranie pamięci wzrasta wciąż! Zaklęta
Perła przedziwnej, wyszukanej wody — — — —

Mamert Wikszemski.

CZARNE TUJE.

Owiły czarne tuje
Znużoną głowę moją:
Twój cień się przy mnie snuje
Jak blask wśród sinej mgły.

Na sennych oczach czuję
Bolesne ust twych płomię;
W me serce niewidomie
Spływają twoje łzy.

Twe myśli niepokoją,
Anielstwo twe się żali —
W powietrznej, szklanej fali
Źrenice twoje skrzą — —

Tęsknota duszę truje,
Sny jasne jej nie koją:
Owiłyż czarne tuje
Znużoną głowę mą!

Stanisław Wyrzykowski.

KAMIENNY BÓG.

W kamiennej ciemnej grocie, z boleści skamieniały,
Przeżywam dni ostatnie mojego żywota.
Poczęła mię myśl grecka i ludzkich dusz tęsknota,
Wyszedłem z dłoni mistrza świecący, nagi, biały.

A dziś mię więzi mokra, porosła mchami grota,
Żem jest od wody śliski, spękany i zmurszały,
Przez pierś żelaznym drutem przybito mię do skały,
U stóp mych gniją liście w kałuży pełnej błota.

Pamiętam raz — wiatr jęczał — wpatrzyłem się wybladły
W miesiąca krąg zielony — jak oko w mgłach rozwarte.
Wtem z hukiem (o nieszczęście!) ramiona mi odpadły!..

Odtąd lat tyle konam w powolnej, długiej męce.
O ciało moje, wilgocią bezlitośnie zżarte!
O ręce moje, wy biedne zdruzgotane ręce!!

Henryk Zbierzchowski.



OSKAR WILDE.

Apokryf idealny.

Oskar Wilde czyli świetność i nędza człowiecza.

To wiemy. Ale:

Oskar Wilde czyli ludzka potęga metamorfozy?

Wedle tej potęgi palingenetycznej świat dusz dzieli się na dwie kategorye:

na twory jednożyciowe (w świecie roślinnym odpowiadają im jednoletnie zioła, zboża, kwiaty)

i na twory wielożyciowe. Tu klasycznym symbolem jest Motyl; w nich istotnie zmartwychwstaje Psyche.

Więc może: Oskar Wilde czyli ludzka zdolność palingenetyczna.

I.

Pierwsze dane jaźni i losu.

Pierwszy akt życia. Pierwsza o(d)słona tajemniczego rdzenia istotnej duszy Oskara.

Natura bogata i niezwykła, dziedzicznie kulturalna, obudzona, czyli niepotrzebująca budzenia (w formie klęsk życiowych), wymagająca do zupełnego rozkwitu swych nadzwyczajnych własności (gotowych w pąku) podniet przyjemnych, t. j., względnie słabych, inaczej: podniet szczęścia, tak zwanych pomyślności.

I Los, któremu chodzi przecie tylko o ROZWÓJ swych wychowańców, daje mu te niezbędne tymczasem warunki rozwoju.

Oskar, otoczony zbytkiem, kulturą duchową i rzeczową, przyjaźnią i podziwem, wchłania w siebie „hojne dary“ otaczającej go atmosfery i realizuje wyzwolone przez nią energie w sposób dotychczas niewidziany — z kapryśną samowolą genialnego jedynaka.

To, co inni zdobywali w pocie czoła, — on przyswaja sobie z naturalną łatwością instynktu, atawistycznej już formy czucia i myśli. Długie procesy ewolucyjne stały się w nim zwięzłą kwintesencyą. Całkowanie dziedziczne — samorzutną prostotą wyższego rzędu. Żmudne ćwiczenia zabłysły w nim świąteczną paradą.

Jest w nim niesłychana giętkość i wygimnastykowanie, nieustraszone zuchwalstwo i karkołomna swoboda dzieci cyrku, co, zda się, ujrzały świat na trapezie i uczą się chodzić — na linie. Jest w nim i fachowość tych cygańskich „dzieci bandy“, ich wzrok nieomylnie krytyczny w rzeczach kunsztu, przedżyciowe wtajemniczenie.

Dziecko bandy estetycznej! do ostatnich granic wrażliwości i sofizmu rozwinięte, dzięki przyjaznym warunkom, co jak mądre wieszczki czuwają, aby się co do joty wypełniły wszystkie utajone cuda ich materyału doświadczalnego.

Zenit?

Być może, gdyby, jak tylu innych, powstał z surowszej gliny, *o własnym* mozole dobił się tego szczytu. Wtedy,

jak tamci, byłby się go uczepił mocno z tą jedną myślą, by z wysokości — nie zlecieć.

Ale dla niego — urodzonego linoskoka! dziecka bandy! przez rasę wyniesionego jak ramieniem jakiego Heraklesa lub Krzysztofa! Dla niego — autochtona Olimpu! Czemże dla niego jest zlecieć! Ciśnijcie ptaka w otchłań: będzie w powietrzu tańczył...

Taniec — prędko się sprzykrzy. Człowiek jest urodzonym galernikiem. Nieśmiertelni potwierdzają tylko ogólne prawidło. Źle mu w szczęściu. Bezradne skrzydła tęsknią do ciężkiej, ciężkiej taczki. Od tego rosną.

Zwyczajni nieśmiertelni zaczynają od galer, kończą na ułaskawieniu. Naprzód grom, co budzi, potem pogodny zachód słońca.

Ale cóż będzie z tym, co, nawspak, otworzył oczy na radość?

Chyba — nieszczęście.

A Oskar ma dość, dość pomyślności. Ziewa ze szczęścia. Znosi je przez nałóg poprostu...

II.

I oto z pod pierwszej warstwy jaźni ma się wydobyć druga.

Zwolna środowisko dotychczasowe (oplot warunków zewnętrznych, bezinteresowny dar czy „przyzwolenie“ Losu) staje się niewystarczającem. Dusza jak pisklę dusi się w skorupie tego psychicznego jaja. Zbliża się kres pierwotnej inkubacyi.

Dość szczęścia; to dlań teraz za dużo — za mało — wogóle niepotrzebne. Przesyt łączy się zawsze z niedosytem. Potrzeby zaspokojone znikają, demaskując ukryte

za niemi głodne innych paszcze. Oskar-Tannhäuser łaknie goryczy. Wyrósł z dzieciństwa pomyślności i trzeba mu czegoś — *„de sérieux"*. To, czem żył dotąd, to nie życie było, lecz zabawa. Świadomość ta zabarwia się lekceważeniem. Stara się być dopuszczonym do Powagi-życia. Ale ta wielka pani otacza się niezwyciężoną etykietą przed błyszczącym profanem. Jak Minotaur króluje w sercu labiryntu. Strażą pałacową są dziwne zaiste sfinksy. Świetny profan, odesłany z niczem, wraca do Wenusbergu. Lecz głód powagi, wniesiony do gry, staje się *Perwersyą*, ujawnia się okrucieństwem. Wykwintne ono — ironia, paradoksalność, umyślne stawanie na głowie, forsowanie wszelkiej nuty: oznaka przekwitów. Dojrzały do nowych eksperymentów losu, nie reaguje na nudne łaskotanie zbyt słabych już odczynników. Wszelka wymyślność myśli, uciech, wzruszeń—wyczerpana. Wszystko, co w dotychczasowym stanie rzeczy zdolen był *sam* stworzyć, pobudzić, wywołać, — wywołane. Trzeba mu czegoś *zzewnątrz*, niezależnego od jego woli a nawet najdalszej intuicyi, niespodzianego, absolutnie Nieznanego. Koniecznym staje się udział potęgi, co złamie zaklęte koło dotychczasowego kojca.

WYZYWA LOS.

Ukryty za wybredną ironią, wykwintną niedbałością goga Sztuki, paradoksem genialnym, cichą udręką wynalazczej nudy, Dajmon Oskara domaga się g r o z y życia; chce się zmierzyć ze Straszliwem. Ztąd magnetyzm zbrodni. Dlaczego pozostał jałowym? bo istotnie straszliwem jest tylko nieobliczone, niespodziane, od woli naszej niezależne. Autoinscenizacya kończy się zawsze fiaskiem — (o ile w kulisy nie wpełznie SMOK nieproszony).

On wyzwał smoka.

Cały sławny i gorszący skandal procesu wygląda od początku do końca na dzieło jego woli; nie tej zdawko-

wej, codziennej, świadomej — lecz owej głębszej, żywiołowej, zdradziecko za naszemi plecami spiskującej dążności ewolucyjnej, która, z nami lub wbrew nam, rzeźbi nasze przeznaczenie.

Patrzcie, z jak zuchwałą beztroską, z jak zimnem szaleństwem prowokuje apokaliptyczną bestyę; drażni się z nią, bluźni jej lekkomyślnie; za jakąbądź cenę, tyranicznie, obudza jej wściekłość. Czemu? bo *ona jedna* mu teraz potrzebna. Jak roślina do wody, tak on całą swą bezwiedną Psyche wyciąga się ku niezbędnej, dobroczynnej, wyzwalającej, twórczej KLĘSCE.

Smok przyjmuje wyzwanie niechętnie — jak zawsze; to ciężka bestya i z góry ma zapewnione zwycięstwo. Ostrzega. Radzi dobrodusznie: odstąp, póki czas. Ale się zbliża — bo Smokowi niewolno nie przyjąć wyzwania. To jego obowiązek — kata.

Zbliża się żółwim krokiem. Za każdym calem pyta o zezwolenie. Oskar przykuty do łoża szczęścia drży z niecierpliwości, za każdym calem to przyzwolenie daje. Drwi z potwora, urąga mu. Irytuje go ta powolność. Rzekłbyś: czuje się zelżonym, że się z nim obchodzą tak oględnie. Za cóż go mają? za gagatka Fortuny? Nie stacże go na — ciężkie roboty? Przestanie-ż być sobą, gdy rzuci „słonecznik", monokl, a nałoży kitel katorżnika? Kitel galernika! nowy szyk...

A Los-Dobrodziej, Los-Papa, który lubi, aby jego pupile pożądali swej konieczności i dopraszali się bata, Los-Mentor w swej wymyślnej a straszliwej dobroci dawał się w Oskarze rozwijać *apetytowi niedoli,* rozkwitać ostatecznemu Fiat tego demona Rozwoju.

Oskar, z własnej i nieprzymuszonej woli wykreślony z księgi wolnych ludzi, okryty hańbą, ścigany przez zemstę, oplwany śmiechem, podaje się łańcuchom.

Wyrok zapada. Dziecko szczęścia — galernikiem. Co za awantura!
Lecz wtedy! — — —.

III.

O nędzo! o boleści!

Smok targował się o otwarcie paszczy. Lecz raz uczuwszy dobrowolny łup pod zębem — nie żartował.

Wszystkie siekacze potwora zatopiły się w ciele „jedynaka". Erę piekła otworzył chrzest — brudnej kąpieli, w której, po oskrobaniu czterech drabów, zanurzono wykwintną skórę olimpijskiego więźnia.

Po dobrowolnym nadludzkim akcie przyjęcia męki nastąpiła ludzka, bierna katusza. Po szczytnem i nieugiętem CHCĘ — straszliwe, nędzne MUSZĘ, cierpienie bezprzytomne, w którem ostatnim śladem godności człowieczej było już tylko — znieść do końca, „cokolwiek się zdarzy".

Zniósł. Chwała tym, co chcieli. Chwała stokroć większa tym, co *chcieli do końca*.

IV.

Smok gryzł go, żuł, ssał — aż go zgryzł, zżuł, wyssał, wypluł z paszczy krwawej. Gehenna go wyrzuciła — na paryski bruk.

Zgaszonego, mówią — bez talentu, sławy, pieniędzy, ojczyzny, przyjaciół; wygnańca samotnego i powtarzającego z pamięci dawne pańskie odruchy i błyskawice intelektu.

Tak mówią interwiewerzy brukowi. Tak chce moralność na użytek dusz dziecinnych, przed któremi zakryta jest wielka kabała życia. Tak chcą tych dusz pasterze, którzy wyzyskali świetną sposobność dla dotworzenia nowego stracha - pokusy ku nawróceniu grzesznych tchórzów. Ileż budujących przykładów na użytek ludzkiego drobiazgu wyrobiono w ten sposób! Całe muzeum pokazowych straszydeł czeka na odsłonięcie groteskowych masek z twarzy nieprzeczuwanie promiennych! O zacna przewrotności Losu! pełny humoru centaurze! zuchwale skrzydlata mądrości! Wielbię twe filantropijne skandale, twe okrutne zadośćuczynienia i rozczarowania radosne, wielki Machiavellu - Janusie!

Oskar Wilde, wynaturzony dekadent, po hańbie długiej katorgi wyszedł z więzienia złamany i pusty.

Tak chce potoczna moralność nizin.

Ale pod obłokami krąży legenda. — Oto:

Do ostateczności bezcelowem powodzeniem doprowadzony siłacz, poddał się, w braku czegoś lepszego, srogim próbom sromu i samounicestwienia, a wyszedłszy z nich zwycięsko, ujrzał się znów wolny pod niebem, wyższy nad sławę, pomyślność, talent, z którego wyrósł jak z paplaniny dziecinnej, w wyszarzanem ubraniu, lecz okryty jaśnią, samotny, lecz obcujący z Bogami, niemy i bez pozy w wielkości swej ciszy, — bezsławny bo nieśmiertelny widz i żywioł nieujęty świata.

Wedle wieści potocznej umarł opuszczony od wszystkich, w nędznej „szangarni“; złoto jego sztucznej szczęki poszło na koszta pozgonne, a trumna zeszła w ziemię bez łzy jednej.

Lecz legenda chce, że zastępy aniołów zleciały do izby, aby przyjąć duszę wyzwoloną do Raju, kędy, z łachmanów nędzy rozpowity, jaśnieje blaskiem „duchów gwałtownych“ i zwycięskich.

Ta legenda jest podobno fikcyą, którą obala cyniczna rzeczywistość i jej dokumenty. Legenda się nie spiera.

Ona tylko śmie twierdzić, że, w takim razie, fikcya ma racyę idealną, a cyniczna rzeczywistość zrobiła brutalne fiasco ze wspaniałym eksperymentem ewolucyjnym, który *„powinien był“* się dokonać wedle linii klasycznej nakreślonej przez legendę.

Takie cuda doświadczalne działy się już przecie. Gdzież się więc tutaj skrył fatalny błąd obliczeń?

Przyszłość może wyłowi zatopiony klucz tajemnicy.

Marya Komornicka.

Z nowej poezyi obcej.

BALLADA ŻYCIA POWIERZCHNEGO.

I rosną dzieci z głębią dziwną w oczach,
Co nic nie wiedzą, rosną, mrą sieroce,
I wszyscy ludzie idą swemi tory.

I z cierpkich słodkie robią się owoce,
I opadają w noc jak martwe ptaki,
I po dniach kilku gniją w traw omroce.

I zawsze wieje wiatr, i wciąż jednaki
Słyszym i mówim dźwięk słów różnych niby,
I czujem znużeń i rozkoszy znaki.

I drogi biegną śród traw, i sadyby
Wkrąg stoją gęste, w drzew, wód, świateł wianie,
Lub groźne znów, lub trupio zrosłe w grzyby...

Na co kto wzniósł je? i tak nieprzejrzanie
Wiele? i żadnej śród nich takiej samej?
Czyliż co zmienia śmiech, płacz lub konanie?

Cóż nam to wszystko i tych zmian omamy,
Nam, cośmy wielcy i sami od wieka
I celów — idąc — żadnych nie szukamy?

Cóż mi, żem widział tylu rzeczy rozczyn?
A jednak wiele rzekł, kto „wieczór“ rzekł:
Słowo, z którego żal, zaduma ścieka,
Jako miód ciężki z dziuplowatych woszczyn.

WIELU JUŻCI...

Wielu jużci musi zemrzeć w dole,
Kędy statków ciężkie zgrzytają wiosła,
Inni żyją w górze tam, u steru,
Znają ptasi lot i gwiazd odległe kraje.

Wielu leży ciągle, z ołowiem w członkach,
U korzeni zgmatwanego żywota,
Innym krzesła, trony wzniesiono
W jaskiniach Sybill, w salach królowych,
I siedzą tam oto jak u siebie,
Z lekką głową, lekkiemi rękoma.

Lecz cień pada od żywotów tamtych
Na te inne, na górne żywoty,
I te lekkie tak są z ciężkiemi
Jak z powietrzem i ziemią związane:

Prazapomnianych ludów omdlałości
Otrząść nie mogę z mych ciężkich powiek,
Ani stłumić w przerażonej duszy
Głuchych waleń się gwiazd oddalonych.

Wiele losów z moim wraz się przędzie,
Byt je wszystkie plącze jakby w igraszce,
I mym działem więcej coś, niż życia
Gibki płomień albo szczupła lira.

PRZEŁOŻYŁ Miriam. Hugo von Hofmannsthal.

SYRENA.

O zmroku, gdy cichnie plusk fali,
szemrzącej wśród drobnych kamieni,
na morzu, w mgle szarej, w oddali,
słychać lament, śpiew słychać syreni.

Śpiew rośnie i w niebo ucieka
i wreszcie się łamie w rozpaczy,
a woda łka w algach; zdaleka
widmo żagla białego majaczy.

I sunie się z lekkim chybotem
łódź-widmo, wzdłuż cichych fal prądu,
w szarości, i niesie z powrotem
dusze smutne, stęsknione do lądu.

Lecz ląd się oddala zielony...
ucieka, ucieka wybrzeże
i wszystko unosi: i dzwony
Anioł Pański głoszące, i wieże,

i chaty nad skalnem urwiskiem,
w mgle szarej pomału niknące,

i dymy nad jednem ogniskiem,
i okienko to jedno świecące.

(*Z cyklu: Myricae.*)

POCAŁUNEK ZMARŁEJ.

I.

Poranek milczący i szary,
woń grzybów się ściele po łące,
na trawach łzy, w górze opary.

W bezruchu, w mgle lekkiej, przejrzystej,
topole ciemnieją drzemiące
i słychać pociągu poświsty.

Czy ranę mam w sercu? dziś we śnie
słyszałem płacz, słowa szeptane,
ktoś wzdychał nade mną boleśnie —

na ustach palącą mam ranę.

II.

I ktoś ty? czy kiedy się dowiem,
przypomnę? Zkąd przyszłaś tą nocą
zapłakać nad mojem wezgłowiem?

Płakałaś: jam czuł, jak w źrenicach
łzy wielkie ci świecą, migocą
i czułem ich zimno na licach,

i czułem, jak usta szukały

ust moich — i czułem ich drżenie,
i próżno wznieść chciałem, omdlały,

powieki — dwa ciężkie kamienie.

III.

Ktoś ty jest? Zkąd przyszłaś w noc ciemną?
Czyś blisko? czy widzisz mnie może,
Znasz, płaczesz w cichości nade mną?

Kto jesteś? (coś drgnęło w oparach)
Tyś pewno z tych drogich — o Boże —
a nie wiem, że leżysz na marach...

I nie wiem, dlaczegom drżał cały,
jak we mgle trzęsące się liście,
gdy głosy się dziwne ozwały

w dalekim pociągu poświście.

(*Z cyklu Myricae.*)

KIJ PIELGRZYMI.

Wyciął z gęstego płota kij sękaty,
popatrzył wkoło — a było to rano
(smutny, a słodki poranek). I w światy

poszedł. A płot ten zieloną był ścianą,
okalającą wielki cmentarz stary,
gdzie matkę jego kiedyś pochowano.

I błądził odtąd samotnie. Do pary

kostur miał tylko. Przez deszcze i spieki
szedł, to się ciesząc, to smucąc bez miary.

I widział góry, doliny i rzeki,
wszystko. A sercem wyrywał się skrycie
tam, odkąd stopy był, ach, tak daleki.

Wątpił o zmierzchu, a ufał o świcie,
i szedł wciąż dalej, gdzie wiodła go droga.
Martwy był owoc, ale kwiat miał życie.

U niezliczonych świątyń klękał proga
i tonął w modłach, lub stał na uboczy,
aby pozdrawiać ludzi w imię Boga.

A jedni „raka“ mówili mu w oczy,
a drudzy: „ave,“ inni uciekali,
podobni chmurze, gdy nisko się toczy.

Znużon jest teraz. Nie pójdzie już dalej
(był wieczór smutny a słodki), przystanie,
trochę odpocznie, trochę się pożali.

I stoi znowu przy zielonej ścianie,
znów przy tym samym płocie cmentarzyska,
gdzie jego matka ma wieczne mieszkanie.

Stoi a patrzy na mogiłę zbliska,
jak wtedy. Ale zmęczone jest ciało.
Co łkało w sercu, to serce znów ściska,

lecz niema tego, co w duszy się śmiało.
I oto stoi, schorzały, bez woli.
I spostrzegł nagle, że wiosnę już całą

przestał. A kostur wrósł w ziemię powoli
i żył, miał liście (ostatni się trzyma
jeszcze i chwieje), soki ciągnął z roli

pod stopą jego; przed jego oczyma
kwitł może. Teraz starzec, pochylony
nad nieruchomem swem życiem pielgrzyma,

zda się, w dalekie wędruje gdzieś strony.

(*Z cyklu: Poemetti.*)

PRZEŁOŻYŁA Anna Bronisławska. Giovanni Pascoli.

TA Z RELIKWIARZA.

Patrz! idę z relikwiarza melancholii oto
I sunę niewidzialnie przez komnatę złotą,
Gdzie wszystko, co po zmarłych twoich pozostało,
Spoczywa w cennych skrzyniach, obramione chwałą.
Jam ta — co ich pamięci zaduszne dni święci
I zbiera zwolna wieczorem skróś cienia
Z wnętrza klejnotów czarnych łzy milczenia.

Oto zmierzchu wyroczna i smutna godzina...

Jestem relikwią twej miłości bladej,
Kwiatów i rzeczy, których zatarte już ślady;
Jam ta, która ci twoje zmarłe przypomina,
Choć one padły do zapomnień dołu
Z tą nikłą, białą wiązanką pospołu
Lilij, rosnących na stawie.

Patrz! ich naszyjnik w łamliwej oprawie
Dzierżę dotychczas zbożnemi palcami...
A skoro-m ścmiła spojrzeń pożegnalnych tyle,
Stałam się cząstką i pierścieni onych,
Leżących w pyle,
Osamotnionych
Po za grobami.

Wieczór nadchodzi i zcicha wydzwania
Anioł Pański za zmarłych śród twego mieszkania.

Twych antenatów rudowłosych pomnę:
Toć oni byli niedawnemi czasy
Bohaterami twej rasy...
Jeden z nich dał ci męstwo chciwością ogromne
I śnienia za kraj świata mknące niespokojnie;
Popatrz na jego medale i krzyże! —
A kędyby cię stopy nie poniosły chyże,
Wspomnij tych, którzy w mękach konali na wojnie,
Gdy, mając pełne usta krwią przesiąkłej ziemi,
Gryźć ją musieli... Dzisiaj przed oczyma twemi
Kłębi się ich nienawiść i pociski świécą;
Oto ich ostre szpady, tnące błyskawicą —
I pióropuszów las się barwny jeży,
Co wiał niegdyś nad strojem złocistym rycerzy. —

Godzina pocałunek na witrażach składa...

Oto księga nabożna o klamrze poczwórnej! —
Z niej się modlili wszyscy twoi od pradziada,
Gdy im Chrystus rozświetlał szlak żywota górny.
Tam we floresach i święte Patrony
Z kwiatami w ręku; z postawy atleci,
W ornatach z lamy, lecz korne jak dzieci,

Znaczą grubą pozłotą proste antyfony.
Choć znaki żółte palców i brzegi naddarte
Nadwerężyły niejedną już kartę,
Moc jednak i powaga bije z księgi starej,
Gdyż przez wiek cały ducha sączono w nią wiary.
W inkrustowanych kasetach mych na dnie
Więżę oczka turkusów patrzące bezradnie
Obok onyksów — a pamięć ich żywa...
Tam jutrzenki różowe błyszczą do tej pory,
I fioletową mgłą prószą wieczory
Stopione razem w dzwonne ogniwa.

Gdy stawię nocą tu kroki bezgłose,
Wszystkie relikwie odwiedzam koleją
I źdźbła melancholicznej miłości im wniosę,
Wówczas mnie głosy żałosne owieją
Z dali mrocznej i smutnej, że tak — zda się — raczej
Biada jakaś bezsterna, błędna łódź rozpaczy,
Gdy złoży wiosła czarne krzyżem na swem łonie.

A widząc, że w klejnotach i cackach gniew płonie,
Że tęsknią kwiaty, — żalę się ich męce;
Więc oczu stałą pieszczotą je darzę,
To pelą włosów swych okręcę,
To hołd im składam rąk pokłonnym gestem
I służebnicą ich milczenia jestem...

Godzina już śmierć rzuca na ściemione witraże. —

Inne relikwie koją gwałtowność daremną
Dyamentów i wnet się zdrzemną;
Lecz te — co w tobie — czają się, by ożyć z chwilą,
Gdy się twych wspomnień wierzeje rozchylą...

Słuchaj i pomyśl: nadchodzi godzina! —
Bo w twych ścianach podzwonne łkać znowu poczyna.

Patrz! strojna w świetne, choć żałobne szaty,
Jestem strażniczką tej złotej komnaty,
By w tobie rzutem niemego kamienia
Do dna poruszyć martwą toń sumienia.

(*Z cyklu: „les Vignes de ma muraille“*).

PRZEŁOŻYŁA
L. Kalenkiewiczowa (El-ka). Emil Verhaeren.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Warszawa mogłaby być jednem z najpiękniejszych miast w Europie, gdyby należycie korzystała ze swego położenia. Niestety, zamiast dążyć do objęcia z obu stron rzeki i przeniesienia nad tę naturalną arteryę głównych ognisk swego ruchu i życia,—przez cały ciąg ubiegłego wieku, wbrew tradycyom starego miasta, oddalała się od niej bezplanowo, bezładnie, tworząc ciasne, przykro proste ulice i jeszcze przykrzejsze między niemi, bezcharakterowe domów kwadraty. Kolosalny obszar Powiśla, tyle zawierający w sobie ciekawych rozwiązań, wegetował tymczasem, zwłaszcza od chwili powstania zjazdu Pancerowskiego, lub zapychał się, wbrew wszelkim zasadom nie estetyki już tylko, lecz i higieny, fabrykami, których dymy i wypary, niesione powiewy odrzecznemi, przesycały i tak coraz gorsze miejskie powietrze. Myśl naprawienia tego błędu zasadniczego nasuwała się niejednokrotnie i niejednemu. Miasto odbierało nawet (jak np. w słynnym projekcie Devarsa) zupełnie pozytywne i sformułowane w tym kierunku propozycye, które jednak dla takich czy innych powodów nie dochodziły do skutku. Drobne, z Powiślem związane a przez zarząd miejski na własną rękę podjęte roboty, jak np. zjazd od ulicy Karowej, są pod obu względami: i estetycznym i praktycznym, prawdziwie wystawowemi bezmyślnej mizeryi okazami. Zdawaćby się mogło, że budowa tak dawno i gwałtownie potrzebnego nowego mostu u wylotu alei Jerozolimskiej powinna była zwrócić uwagę, czyją należy, na konieczność wygotowania głębiej obmyślonego, twórczego planu regulacyjnego całej, dotychczas po macoszemu traktowanej, a właściwie o przyszłości miasta stanowiącej dzielnicy nadrzecznej, z uwzględnieniem odpowiednich na dziś i na jutro arteryj komunikacyjnych między górnem miastem i dolnem. Wbrew słusznym oczekiwaniom, ze zwykłą bezplanowością ogłoszono konkurs tylko na szczegół pojedyńczy tej wielkiej całości, t. j., na dojazd do mostu przez aleje Jerozolimskie. Co gorsza, z szeregu nadesłanych, niekiedy bardzo pięknych projektów, wybrano ową homerycznego śmiechu godną, wstydem war-

szawskie budownictwo okrywającą, ścianę z windami, która, w razie wprowadzenia jej w wykonanie, byłaby na długo (aż do nieodzownej demolacyi) murem odgradzającym Warszawę od jej naturalnych, nieuniknionych dążeń i zadań. Dzięki protestom estetyków naprzód i artystów, a potem Stowarzyszenia Techników, wiekopomny ten ze swej naiwności projekt wstrzymany został — i podobno nowe jakieś, w szerszym już zakresie, konkursy ogłoszone być mają. Sam fakt wszakże i pojawienia się tej *énormité* i wyboru *jej właśnie* z pośród licznych projektów, w połączeniu z przesmętnym naogół, z punktu widzenia estetycznego, stanem inżenieryi i budownictwa warszawskiego (*vide* wspomniany zjazd od ulicy Karowej, oraz wszystkie prawie budowle, od kościołów do kamienic), słuszną przejmuje obawą, czy i te nowe zamierzenia dość przewidująco, nie dojutrkowo, i dość twórczo, z odpowiedniem wyzyskaniem warunków położenia pomyślane zostaną. Warszawa rośnie jak na drożdżach, ale w jakiś trafowy, barbarzyński sposób, hańbiący poprostu w epoce angielskich *garden-cities*. Bezładny, bezcharakterowy konglomerat jej powiększają nieustannie coraz nowe zlepki pozbawionych również planu i charakteru, niemających ani placów ani ogrodów, ciasnouliczkowych dzielnic i przedmieść. Z rozrostem tym potęguje się ruch wozowy i pieszy, któremu za jakie lat 50 nie podołają stanowczo ciasne już nieco dzisiaj centralne arterye miejskie: Nowy Świat z Krak. Przedmieściem i aleją Ujazdowską, oraz wstrętna w bezperspektywowej prostolinijności swej ulica Marszałkowska. Dzisiaj już, z góry myśleć należy o otworzeniu nowych wielkich dróg, bulwarów śródmiejskich, rozłożystych *avenues*, któreby temu wzmożonemu ruchowi należyte dały ujście, a zarazem doprowadziły do zacieśniającego się coraz bardziej środka miasta nieco powietrza. Te wielkie, szerokie, hojnie zadrzewione ulice wyobrazić sobie można, bez nadmiernych ekscesów demolacyjnych, tylko na stoku między Nowym Światem i Krak. Przedmieściem a Wisłą: jedna mogłaby biedz w jego połowie, mniej więcej od ulicy Rozbrat do Marjensztatu, druga nad samą rzeką. Połączenie pomiędzy niemi oraz dzisiejszą arteryą centralną winienby tworzyć, zamiast obecnych prostopadłych i przeto stromych przecznic, szereg ukośnie, łagodnemi spadkami zbiegających ulic i uliczek. Tak więc sprawa Powiśla nie ogranicza się do kwestyi jakiego takiego połączenia dolnej dzielnicy z górną. Chodzi o coś znacznie ważniejszego: o dającą się już dzisiaj przewidywać konieczność przesunięcia całego centrum miasta bliżej ku rzece i o znalezienie dla wielkiego przedsięwzięcia tego najodpowiedniejszych rozwiązań. Czy mamy ludzi

fachowych, zdolnych do tego rodzaju planowań na wielką skalę? Z dzisiejszego sądząc wyglądu Warszawy, wątpićby o tem raczej należało. Ale może znalazłby się ktoś z młodych, którzy nie zagrzęźli jeszcze w ciasnej rutynie, nie zatracili jeszcze fantazyi i smaku, nie stali się jeszcze prostymi wyrobnikami technicznymi. Ostatni konkurs na dojazd do mostu mógł pewne w tym kierunku rozbudzić nadzieje. W każdym razie, aby daremnie nie wywalać drzwi dawno już otworem stojących, należałoby się przedewszystkiem zaznajomić z tem, co gdzieindziej, w zakresie budownictwa miast, przekształcania dzielnic, rozszerzania przedmieść i t. p., po dziś osiągnięto. A osiągnięto bardzo wiele. Świadczą o tem zarówno imponujące urzeczywistnienia w Wiedniu, Monachium, Bruksellí, jak i cały szereg dzieł wyczerpujących lub broszur zwięźlejszych Buls'a, Sitte'go, Stübben'a, Henrici'ego, Göller'a, Gurlitt'a i innych. Aby przestudyowanie tych rzeczy miało doprowadzić do jakichś naśladownictw i egzotyczności, obawiać się niema potrzeby. Dla istotnie zdolnych, twórczych jednostek (o niedołęgów nie chodzi) będzie ono tylko rozszerzeniem widnokręgów i stymulem pożądanym, a przedewszystkiem przypomni, komu należy, dwie następujące, zapomniane u nas widocznie, albo też niezrozumiane w dostatecznej mierze reguły:

1) że bez należytego planu przewodniego wielkie miasto może *rozrastać* się niezdrowo, lecz nigdy *rozwijać* pomyślnie;

2) że estetyka miast, polegająca na twórczem wyzyskaniu warunków miejscowości i sharmonizowaniu z niemi całego rozkładu ulic, placów, parków, budowli, — nie jest zbytkowym jeno dodatkiem, bez którego obyć się można, lecz streszcza w sobie wszystko, co stanowi o pomyślnej ewolucyi danego wielkiego mrowiska, i przeto stanowi istotną, wyższą od najpraktyczniejszych brzydot, praktyczność.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

Wł. St. Reymont. *Chłopi.* 2 tomy. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Z jednego strumienia*, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów, z przedmową E. Orzeszkowej. Warszawa. Skl. gł. w księg. Wendego i Sp.—Stefan Żeromski. *Aryman mści się. Godzina.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — An. France. *Historya komiczna.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — St. Przybyszewski. *Synowie ziemi.* Lwów. Księg. Polska.—M. Pawlikowski. *Obrazki i opowiadania.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—A. Gide. *Prometeusz źle spętany.* Lwów. H. Altenberg. — A. Czechow. *Opowiadania.* Warszawa. M. Borkowski.—Z. Niedźwiedzki. *Erotyki.* Lwów. Księg. Polska.— M. Jokai.

Biała dama z Liwoczy. 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—J. Terpiłowska. *Przystań.* Warszawa. Gebethner i Wolff.—P. Bourget. *Po szczeblach.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.—E. Orzeszkowa. *Mirtala.* Warszawa. Gebethner i Wolff.—G. Zapolska. *Jak tęcza!* Lwów. Księg. Polska.—T. Prażmowska. *Romans Gąski.* Warszawa. Nakł. i druk S-nów Niemiry.—Multatuli *Maks Hawelaar.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.— G. de Maupassant. *Na wodzie.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.— K. Gliński. *Obrazki z przeszłości.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Konopnicka. *Na normandzkim brzegu.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Prévost. *Listy do Frani.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — G. Daniłowski. *Dwa głosy.* Warszawa. Gebethner i Wolff.—A. Miller. *Trzy cmentarze.* Warszawa. J. Fiszer. — W. Przeradzka. *Fragment.* Warszawa. Nakł. F. Przeradzkiego.—W. Żmudzki. *Z pamiętnika psychopaty.* Lwów. Księg. Polska. — *Wybór nowel francuzkich,* tłóm. M. Rakowska. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Deledda. *Po rozwodzie.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Gjems Selmer. *Nad dalekim cichym fiordem.* Warszawa. G. Centnerszwer i Sp.— A. Niemojewski. *Listopad.* Łódź. Rychliński i Wegner.—St. Nalęcz Ostrowski. *Przed burzą.* Warszawa. Gebethner i Wolff.—Hall Caine. *Izrael.* Warszawa. H. Cohn.

Chłopi: *Jesień, Zima,* przez Władysława Reymonta. —W porę, symptomatycznie przyszedł utwór Reymonta: „zwierciadło“ przedhistorycznego chłopstwa polskiego — w przededniu jego gromadnego wejścia „z wolnej i nieprzymuszonej woli“ na widownię dziejów.

W prawdzie, gdyby autor był poczekał nieco, to współczesne wypadki i bijący z nich nastrój byłyby może wpłynęły i na podniesienia dzieła na wyżyny np. CHŁOPSKIEJ EPOPEI. Byłoby to nawet do odrobienia w następnych częściach tej tetralogii, gdyby autor chciał poświęcić plan pierwotny i tomową proporcyjność dzieła szerszym aspiracyom twórczym, których istnienie zdaje się potwierdzać epicki finał 2-go tomu (zkądinąd historyozoficznie całkiem chybiony). Jakkolwiekbądź — w oczekiwaiu rapsodu jakiejś pepesowsko-maryawickiej Iliady Mazurskiej, — przypatrzmy się Reymontowi-*naturaliście* i w jego czarodziejskim kalejdoskopie oglądajmy przyszłego bohatera dziejów i sztuki, w przededniu duchowej i społecznej rewolucyi czy rewelacyi.

Tu zgorszyć się musimy wszelkim w autorze brakiem dreszczu proroczego, wszelkiej intuicyi historycznej. Rażącą jest poprostu w jego dziele nieobecność jakiegobądź śladu ideowych czy nawet tylko agitatorskich fermentów. Tłómaczy się to dwojako: popierwsze, dominującym w autorze wpływem *folkloru,* jego barwistości tak ponętnej dla sensualizmu artystycznego; powtóre—genezą dzieła.

„Chłopi“ są jedynym w swoim rodzaju eksperymentem twórczym. Tu wchodzimy już nie w kontakt, lecz pod niepodzielną władzę Bartkowego królestwa. Artysta zamknął się w samem jego sercu, zidentyfikował się z przedmiotem studyów, usiłował posiąść go przez absolutne i bezpamiętne oddanie się, z właściwą sobie determinacyą zanurzył się weń z głową. Nic przeto dziwnego, że się

tak dzielnie podjęte zadanie udało; nietylko posiadł doskonałą znajomość chłopskiego życia, inwentarz jego domowy, gospodarczy, obrzędowy i t. d., wszelkie postawy jego namiętności, prac, zabaw i wytchnień; nietylko odczuł i uwydatnił *odwieczny ład,* utrzymywany w tej masie kmiecej potęgą zwyczaju, ugruntowanej klasyfikacyi zajęć, stanowisk i symbolów religijnych; — co ważniejsza — posiadł istotę duszy chłopskiej, przyswoił sobie jakby źródło żywe i oryginalne jej bytu, zkąd płyną jej odruchy uczuciowe i językowe.

Nic dziwnego również — niestety — że przy takiej niemal medyumicznej metodzie stracił wszystko inne z oczu, nie zestosunkował swego objektu z epoką i całością społeczeństwa, nie zachował w sobie żadnej krytyki niezależnej, żadnego historyozoficznego rzutu oka. Został w zaczarowanem kole „wsi głuchej". Co prawda — jeżeli to może być kompensatą — wydobył wszystkie jej zaklęte skarby.

W tych naturalnych swych ograniczeniach zamknięte dzieło jest jednak jeszcze niemałym wysiłkiem twórczym. Autor — instynktownie ciążący ku tematom rozległym — zadał tu swemu talentowi trud godny jego sił. Tu już nie chodzi o jakąś względnie prostą, kilkuosobową figurę psychologiczną, lecz o problem gromady, o odtworzenie organizmu Wsi we wzajemzależności jej ruchów drobinowych (indywidualnych), funkcyonalnych (grupy wedle płci, wieku, majątku i t. d.), wreszcie pospólnych (chwilowe syntezy nastrojów religijnych, roboczych, opiniowych, bojowych i t. d.). Jak jaki Gargantua, wyrosły na mleku Syreniem, musiał autor położyć sobie na dłoni swe Lipce (nazwa wsi-bohaterki utworu) „niby srebrną misę o modrych wrębach lasów, przez którą, jak srebrne przędziwo... migotała rzeka" (t. II. str. 4.). Obfitość przytem materyału wymagała złożonego procesu tworzenia. Natchnienie przyzwało do pomocy *ład,* któryby rządził temi rojami ludzkiemi, kwatermistrzował im roztropnie w ramach dzieła. Z improwizacyi trzeba było przejść do kompozytorstwa.

I oto mamy pomnikową „historyę naturalną" tej odrębnej odmiany ludzkiej, którą jest chłop polski — wnuk puszczy, syn piachu, — o historyi niemal geologicznej tylko, dobywający się na powierzchnię życia ogólnego wraz z gruntem ogołacanym z lasów, które kołysały tysiącletnie jego bytowanie; zagadkowy tym niepomiernie długim snem, atawizmami, które ten w nim złożył, nieodcyfrowanym sensem odwiecznej niedoli i nędzy, wreszcie utajonemi potęgami, które w nim nagromadziło kolejne działanie wytchnienia i ucisku.

Chłop Reymonta nie jest tym „młodszym bratem szlachcica",

którego w nim niektórzy z rozrzewnieniem dopatrują. Przeszedł on szkołę tak odmienną, że junacza fantazya, która jest cechą narodową, a dominantą szlacheczczyzny, w nim schodzi na drugi plan, zjawia się tylko okolicznościowo. Tu przeważającym stanem ducha jest „ton ostry, zapamiętały, mazowiecki", jest c h o l e r n o ś ć. Pierwotna słowiańska zgodność, bierność, opieszałość, pod wielokrotnem działaniem niewoli, nędzy, krzywd i walki o byt, ustąpiły znacznie energii zaciśniętych zębów, hardości stłoczonych uraz, zgryźliwości trosk nieustannych, cierpkości twardego doświadczenia, nieustannemu wrzątkowi gniewnych przekleństw, — temu jednem słowem h u m o r o w i w ś c i e k ł e m u, który wogóle znamionuje przejście od śpiączki do wolności, a w szczególności charakteryzuje współczesne demokracye. Wysunięcie na pierwszy plan tej gwałtownej goryczy wyróżnia Reymontowego chłopa od wszelkich Konopnickich, Prusowych i innych chłopów naszej literatury i jest jedyną w nim cechą epoki. Inne rysy jego charakteru — somnambulizm, hulaszczość, „poredzanie", chciwość (inny rezultat twardej doli, lecz jakże złagodzony i daleki od ohydnej namiętności typów Zoli) i t. d., zanotowane już przez poprzedników Reymonta, znalazły w nim tylko wyraz indywidualny, często dosadniejszy, lokalnie barwniejszy, pełniejszy.

Reymont bowiem jest wirtuozem ekspresyi charakterystycznej i grotesku. Ucieleśnił duszę chłopską w całej galeryi bajecznych typów (chłopskie matrony, gospodarze „kwardzi", ewangeliczni nędzarze, opętańcy młodzi, dzieci...). „Stawia" on swe figury z niezachwianym aplombem intuitywnej pewności; chwyta z niezrównanym humorem ich dualizmy prostacze („przysięgała się przed tą Częstochowską, że świnia jej"...). Świetnym jest w d y a l o g a c h (dziw, że go nigdy nie skusiła scena). Przepysznie charakterystyczne, szeroko rubaszne, to znów subtelnie ironiczne, ostre lub cierpkie, umajone nieocenionemi aforyzmami i rymami przysłów, przechodzą one niekiedy w dziwne rozhowory dusz komunikujących sobie swą tajemniczo rozkwitającą wiedzę o wszystkiem. —

P l a n dzieła jest prosty i szeroki. Idąc za natchnieniem prawdziwego artyzmu, autor zaczerpnął go z natury samego przedmiotu: chłopa-gromady, poddanego ziemi i żywiołom. Rozczłonkowanie materyału wedle odwiecznego cyklu Pór nasuwało się samo przez się, a wprowadzenie tego zegaru „Dni i Prac" nadaje dziełu urok swojskiego „poematu natury", podtrzymującego tradycye klasycznej starożytności.

Inauguracyą jesienną kierowała myśl celowa i dojrzała: siewów, zaczątków przyszłego życia, powierzonych na daleką metę

zstępnej fali życia, które, dążąc do swego minimum, w zimie ma przejść przez punkt martwy, by ku wiośnie nanowo zatętnić i coraz intensywniejszym rytmem dążyć ku maximum letniego rozkwitu, wybujałości. Stopniowanie to jednak nie jest dostatecznie przeprowadzone w akcyi; spotykamy tu raczej wciąż odnawiające się ku niemu intencye. Zresztą nie przesądzajmy o całości.

Forma powieści jest zresztą nienowa. Autor wypełnił tylko gotowe ramy. Głównemi organami są tu całostki epizodyczne; rzecz otwierają „opisy natury". Te zaś składniki istotne uważał autor za stosowne powiązać ze sobą tokiem opowiadania w tonach niższych.— Epizody są liczne i przeważnie wysokiej wartosci. Niezapomniane są niektóre, np. szał taneczny o świcie, w ciemnej izbie, w szafirowych smugach księżyca; albo zadymka w lesie i śmiertelne znużenie zbierającej susz kobiety; albo bukoliczna scena kochanków w oborze. Cały wogóle romans Jagny i Antka, chlopskiej Galatei i wściekleca, jest arcydziełem odczucia i potęgi. To Reymontowy „Tristan i Izolda". Uroczo naiwną jest scena dzieci, sprawdzających, czy w Wigilię „krowy ludzką mowę znają". Są tu zresztą niespamiętane dziwy i cudności. — „Opisy natury" („koncertowa" strona artysty) urastają nierzadko do poematów czasu, ziemi i nieba, zachwycają grą żywiołów i zespołem wszelkich zjawisk w jeden nierozpłątany wir życia. — Co do opowiadania, w którem poprzednie części dzieła zaznaczył, to, mimo że usiane gęsto ciekawym szczegółem, jednak *artystycznie* było zbyteczne (nie mówiąc już, że rozwlekło rzecz niepomiernie). Podobne w powieściach międzyakty są swojskim przesądem. Stworzyło go lenistwo lub niezaradność inicyatorów tej formy, ustalił precedens. Najwyższe formy artystyczne są od nich wolne. Wyczerpującym być można bez rozwlekłości. Moment powinien skupiać treść dni wielu, jak soczewka promienie. Nie jesteśmy wrogami starych form—broń Boże! Niechaj tylko adaptują się z żywem natchnieniem, a nie zamieniają się w wygodną pochylnię dla odruchowej myśli.

R. ma ogromną siłę nastrojową i plastyczną. Pierwotna jego natura wprost w oczach naszych przetwarza świat na swoje wyobrażenie. Dodajmy słowiańską duchowość wrażeń. W szczepie tym projekcya stanów wnętrznych jest mniej stanowczą niż w innych, zachowuje jakby ciepło miazgi, która ją wypromienia; Psyche jest intuicyjnie świadomsza swej złudnej roboty. Działa tu zapewne owa specyficzna skłonność do marzeń, która na dwóch skrajach skali stwarza gapę — i wieszcza. Ztąd łatwe chwianie się aksyomatu rzeczywistości, ztąd transpozycya uczuć na obrazy. Ztąd

predestynacya do ultra-psychologicznego stylu. R. posiada go samorzutnie. Miewa huragany i tęcze słów, określenia świeże jak wiosenne kły hyacyntów, otwiera słowami tajemniczą grotę duszy, kędy „wybłyskają“ i „przygasają“ uczuciowe emanacye jaźni. W tych wizyach zjawisko duchowe zdaje się powracać do swego źródła, przenikać swój substrat fizyczny, rozświetlać ten punkt dla wiedzy niepochwytny, tę obrączkę przymierza, z której wystrzela korzeń— i kwiat. Święty dreszcz nas przebiega, żeśmy oto u genezy życia —

Lecz i tutaj łączy autor olśniewające uzdolnienia z rażącem lekceważeniem kunsztu. Jest on dotychczas bez stylu, rozrzutnym tylko bogaczem słów wszelkich. Brak mu dyscypliny, ostrej, wewnętrznej czujności artystycznej. Nie ma ambicyi fachu. Pozwala sobie na monotonie, blagi, pośpiechy, niedbalstwa, nadużycia przymiotników, zwrotów na „iż“ „że“ „tak“ i t. p. (czysta piła!), podlega obsesyi krągłego okresu, przeciąga „rzewliwości“ i „tęsknice“ jak Barcewicz. Nie ma w krwi, świętej maksymy Sztuki, że wszystko, co nie jest niezbędne, jest zbyteczne. Negatywna, redukująca strona kunsztu w zupełnem opuszczeniu.

Z quasi-dyalektu, którym są pisani „Chłopi“, dałby się wyciągnąć cały słownik mazurski. Dla cudzoziemca niezrozumiały, ciekawy, prostacki i jędrny, twórczy, onomatopejowy, język ten nosi ślady tych przyczyn niepochwytnych, które go wytwarzają, tych „klusek w gębie“, dławionych przekleństw, głębokich ekstaz, gestów naśladowczych. Wyborne są również kręcenia już gotowemi wyrazami w myśl nowych zaoczeń (np. „samson“) i zwroty swoiste, pachnące izbą i polem, pełne niespodzianych skojarzeń, pomysłów niemal fantastycznych.

W „Chłopach“ zbiegło się długoletnie doświadczenie polskiego folkloru i sztuki narodowej w swym okresie wstępnym, szukającym dróg i materyału. Dzieło Reymonta ujęło tę bogatą pracę w akord syntetyczny i stoi na pograniczu ery nowej, w której u zbiegu ścieżek empirycznych zakipi źródło, ze stosu buchnie płomień zbudzonego i pełni sił swych świadomego GENIUSZU NARODU.

Z jednego strumienia, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową E. Orzeszkowej. — Książka, poważnych rozmiarów i pięknie wydana, — mimo liczne współpracownictwo ma charakter ściśle jednolity, monotonny niemal. Oddzielne nowele stanowią jakby rozdziały tej Księgi Niedoli polskiego żydostwa. Owiewa je duch wysokiej i czystej filantropii (w znaczeniu wyrazu etymologicznem), przenika wzruszenie litosnej sympatyi; rzadszym jest koncept lub humor, jeszcze rzadszą ciekawość bezstronna, badaw-

cza. Jak z przedmowy zacnej inicyatorki i z ducha całości wypływa, dzieło to jest raczej dokumentem, manifestacyą szlachetnego stosunku polskich twórców do współczującego z nami od wieków i upośledzonego plemienia Izraela; — na czoło przeto wysuniętym został zwłaszcza pierwiastek moralny, sercowy, i utwory tym czystym, ciepłym humanizmem natchnione. W tym akcie życzliwości i dobrej woli słabiej się przeto uwydatnia żywioł chłodniejszy, lecz może bogatszy w barwy i donioślejszego znaczenia: żywioł dociekań psycho-społecznych, etnologicznych. Nic w tem dziwnego: naprzód, zbliżenie się nasze do mas żydowskich miało podstawy etyczne; powtóre, łatwiej Polakowi o łzę wzuszenia, niż o bystrą życzliwość naukową takich np. Francuzów. Ztąd jednostajność trochę biadającego głosu litości (zkądinąd najzacniejszej); ztąd jednostronne pogłębienie tematu i znajomość stosunkowo powierzchowna jeno wszystkim dostępnych szczegółów. *Całokształt życia żydowskiego* dostaje zaledwie kilka przenikliwszych promieni, a to w nowelach Junoszy („Cud na Kirkucie") i Orzeszkowej („Silny Samson"). Ten ostatni zwłaszcza wtajemnicza nas genialnie w oderwany i halucynacyjny żywot talmudysty, rzuconego z wielką prawdą na bogate tło żydowskiego mrowia, jego nędzy i uciech, — a moment zetknięcia się marzyciela z rzeczywistością został oddany zwięźle i z potęgą. — Wszystkie w książce zamieszczone utwory są mniej więcej znane już i piór sławnych. Spotykamy się tu z bajecznym „Chałatem" Gomulickiego; ze sławną „Chawą Rubin", tak powściągliwą i rzetelną, Świętochowskiego; wreszcie ze słusznie głośnym „Srulem z Lubartowa" (Szymańskiego), usynowionym przez ziemię przybraną za to, że wiele — tęsknił. — Kilka piór mniej mistrzowskich nastroiło się do ogólnego tonu i nie psuje wrażenia, choć niczem go nie przymnaża (Daniłowski, Dalecka).

Aryman mści się. Godzina, — przez Stefana Żeromskiego. — Książka ta, w linii artystycznego rozwoju autora, zaznacza moment nader ważny: świadome porzucenie jarzma szablonów realistycznych, oraz poddanie się wolne a nieprzymuszone indywidualnej intuicyi twórczej, skłaniającej się do streszczeń symbolicznych, do wielkich, uroczystych skrótów idealnych. Niniejsza jednak rzecz, mimo „lwi pazur" stylu i przepychu inwencyj poszczególnych, do najudatniejszych nie należy. Myśl utworu—zemsta materyi na człowieku, który ją w sobie zgwałcił w imię ducha, — inaczej: niezniszczalne fatum „podwójnej jedności" ludzkiej, przedstawia się w dziewiczym Janie-pustelniku i jego niewieściej pokusie chudo, wątło, zbyt specyalnie, nie mówiąc już o groteskowo okrutnym

obrazie Jana *upalającego sobie palec za palcem przez noc całą*... Należałoby przytem sprostować stanowiące w utworze ideę fundamentalną złudzenie, jakoby ascetyzm płciowy i odludztwo były bezwzględnemi prawidłami „magów,", tych mistrzów harmonii i kapłanów praw natury —

Drugi utwór, *Godzina,* choć także niepochwytnie wymuszona (gdy porównać z bezwiedną swobodą „Opowiadań"), jest niezwykle przenikliwym nastrojem szpitalnym, gdzie melancholia złotej jesieni, ziąb gruźliczny, biały kornet siostry pod oblatującym liściem, półhalucynacye bolesne, myśli gorzkie jak śmierć, ohydne „marzydła" i trwoga przedoperacyjna tworzą całość prawdziwie Żeromską, łzawą i okrutną, delikatną i ponurą, brutalną i sentymentalną, rozmarzającą i gnębiącą — bezprzykładną — —

Historya komiczna, przez Anatole'a France. — W wartkiej formie noweli — studyum psychopatyczne nad zjawiskiem opętania warunkowego. Fantastyczność tematu rozświeca się ścisłością badania naukowego, zajmującego jak paryski felieton. Błysk doktorskich okularów poprzez spódniczki baletowe. Całe mistrzowstwo przedziwnego umysłu autora — w bańce mydlanej.

Przekład bardzo lichy, bez znajomości języka tłómaczonego, fałszujący oryginał na każdej stronicy. Dość go porównać ze wzorowym przekładem „Gospody pod Królową Gęsią Nóżką" przez Stena.

Synowie ziemi, przez Stanisława Przybyszewskiego.— Jest to utwór mieszańczy, w którym zmierzch berlinskich czy skandynawskich improwizacyj twórczych łamie się i kłóci ze świtaniem symfoniczności narodowych. W zetknięciu z możnym aniołem kultury ojczystej, zdezoryentowała się dotychczas indywidualność autora. Nowy i potężny wpływ szczepu uciska zwłaszcza demoniczne odruchy jego talentu i narzuca jego silnej wrażliwości na środowisko—*ideowe* imperatywy, z któremi w „Synach Ziemi" nie doszedł do ładu, i które fałszywie załamują się w nieprzygotowanym na ich przyjęcie pryzmacie. Ztąd oportunizm tem przykrzejszy, że jest zarazem instynktowy — i świadomy. Z opadnięciem wód natchnienia wystąpiła wirtuozya fabrykująca stany twórcze i podniecająca się frazesem, zaakcentowały się wszystkie mniej szlachetne rysy tej wyjątkowej twórczej postaci. Dygresye polemiczne rażą nieodpowiednim często akcentem, a bezwzględnie marną jest przedmowa.

Naturalnie zarzuty te tyczą się całości utworu. Zkądinąd nie brak w nim pięknych fragmentów. Pierwsze rozdziały zwłaszcza zawierają wspaniałe symfonijne motywy, a początek drga aktualnością w wielkim stylu. Zbyt mało to jednak jak na autora „Wigilij".

Obrazki i opowiadania, przez Mieczysława Pawlikowskiego.— Przeciętne nowele ze stemplem Zacharyasiewiczów, owej epoki, gdy resztki romantyzmu żyły w niektórych duszach po sąsiedzku z postulatami prawdy realnej, a dobre szlacheckie czasy zapoznawały się z powagą warunków nowych. „Testament Napoleona“ razi dobrodusznie tatusiowem traktowaniem błota w duszy ludzkiej. Czcigodnej starości przywilejem jest światłe umiarkowanie w sądach, — lecz pobłażliwość bezkrytyczna świadczy o niezależnem od wieku stępieniu zmysłu moralnego, o zakażeniu się tolerowanem zepsuciem, którego najszpetniejszą może formą jest zmateryalizowanie życiowe. — „W grudniowe dni“ ma tu i owdzie zalety ciepłych (trochę piecuchowych) nastrojów i dziwi — w tem otoczeniu — dekadenckim motywem dziewczyny - wampira. — Reszta jest bez wartości. — Zebranie tych bezpretensyonalnych i małoważnych drobiazgów jest niepotrzebnym aktem pietyzmu, który się zbyt często u nas wyraża uwiecznianiem — nawet słabych stron ludzi zkądinąd zasłużonych. Tę świadomość zresztą czyta się między wierszami—przedmowy, będącej rodzajem *usprawiedliwienia.*

Prometeusz źle spętany, przez Andrzeja Gide'a.—Jedna z tych świetnych i wielostronnych alegoryj w których człowiek-twórca próbuje schwytać niezłowione, słowami uświadomić to, co błyskami poczuć wnętrze jego przeszywa: PRZEZNACZENIE swoje, tak jak je formułuje księga lub wyrok zwierzchniego Demiurga; *plan labiryntu* życia, *technikę bożą* swego losu.

Alegorya dajmoniczna o „świętem żądle“, którem cięta wije się i gna ślepo a wyrocznie biedna Io ducha; o prometejskim „orle“, nie dopuszczającym sprzecznego z ewolucyą błogostanu, lecz żyjącym z jego sił żywych, jak niebiański jaki pasorzyt... Słowem, o tym ukrytym w każdym psychicznym kompleksie fermencie IDEI, właściwości dominującej, rdzeniu duszy, pierworodnej treści, istotnej indywidualności naszych mętnych ustrojów, dręczącej nas aż do skutku — *ujawnienia się* — czy to pomyślnego i szczytnego (cnota, geniusz) czy anormalnego i karykaturalnego (obłęd, występek, mania).

Ironiczna, bulwarowa alegorya o boskim hodowcy orłów, „pierwszym bodźcu“ życia, twórcy suggestyj, wszczynającym „we wnętrzach ludzkich inaczej tak pustych“ proces dążenia i udręczenia, wiodącym na poniewierkę i męczeństwo, kołowacizny oczarowań, zawikłania w sieciach zdradziecko obudzonej i już dalej samocucącej się w pomyłkach samowiedzy.

Alegorya o tem zbudzeniu „bezinteresownem“ przez zjawisko niepojęte, przez absurd „mistyczny“, burzący nagle cały dotychcza-

sowy ład myśli i zmuszający ją tem do nieustannych ćwiczeń dokoła — sfinksa, pedagogicznej sztuczki w rękach tego, „który kazał się nazywać Bogiem“. Odtąd nieszczęsnego opętańca trapić będzie mania poznania, wyjścia z siebie na punkt, z którego wyświetlają się mistyfikacye Losu, kulisy tych okrutnych, wychowawczych feeryj. Życiem codziennem będą mu popłochy i łamańce niezgrabnej myśli, śmieszne dramaty niedołęstwa i paniki, skrupułów i niedorzeczności; pozna wszystkie manowce dyalektyki, zboczenia wrażeniowe, poczucia tendencyjne, rozszerzenia się po żyłach jadu kłamstw bezczelnych i urągliwych złudzeń. Trwać będzie w tumanie, nagle przez kłęby mgły spostrzegając dalekie i nieznane światła, które go na chwilę krzepić będą szeptem, że jednak nie zszedł z drogi do światłości, i że dawna jasność była jeno mrokiem nieświadomej ślepoty, która go oto zwolna opuszcza... „Pomóżcie mi poznać siebie samego! przez litość!“ woła Damokles wśród swych dywagacyj...

Przychodzi wreszcie wytrzeźwienie; złudzenia się rozwiewają, wraca kwadratowa równowaga, ze śmiechem nad tragiczną farsą, którą się przeżyło. Człowiek *zjada* swego orła—zbiera owoc realnych korzyści (dojrzenie) z trudu położonego przy ciężkich robotach *urojenia,* w podziemiach Minotaura...

Opowiadania, przez Antoniego Czechowa. — Zbiór wybornych anegdot satyrycznych lub tylko humorystycznych. Z tych krótkich wartkich obrazów wylania się życie rosyjskie, życie opłakanego społecznego i duchowego mrowia, wlokącego się niedołężnie i bezświadomie po swej krzyżowej drodze; znalazły tu swój wyraz niektóre zwłaszcza kalectwa duszy słowiańskiej, jej nerwowa, rzekłbyś, niewolniczość, pokora, służbistość, wydana przez los kaźni, poniewierki i zgnębienia, mających wymordować z niej uśpioną godność, poczucie prawa i mocy... Oko autora zatrzymuje się z tajemniczą predylekcyą na tem wszystkiem nędznem, poniewierającem się i poniewieranem, na tych „szczątków ludzkich“ tonie, barwie, dekoracyi łachmaniastej, zaniedbaniu, trwożliwych nałogach; wdycha zapach tytoniu i monopolki, notuje akcenty służalcze. Jak to słusznie tłómacz w swej trafnej przedmowie zaznaczył, Czechow jest twórcą objektywnym, operującym faktami i rzeczami i przez ich zestawienia osiągającym efekty psychologiczne. Jest to metoda (jeśli dla tworzenia można użyć tego terminu) wytrawna i kunsztowna. Ma i ona jednak swe niebezpieczeństwa, a Czechow niezawsze je omija: jest niekiedy oschłym, niepamiętnym „odwiecznej prawdy“ nawet w burlesku, ubogim — w miłosierdzie takiego np. Dickensa.

Kontrast z temi szkicami hołoty stanowi „Żarcik“, perla młodzieńczej swawoli i poezyi lekko zasmuconej.

Erotyki, przez Zygmunta Niedźwiedzkiego. — Naga i krótka, lecz „wiecznie nowa“ prawda o „wiecznie męskiem“, oglądana przez temperament młodego szlachcica na „kontraktach“ lub „jarmarku welnianym“; poezya „młodych ogierów“, rozlicznie skombinowanej „rui“ ludzkiej, swawolnego, impetycznego i ostatecznie niewinnego „odwiecznego“ szalu. Rozhukanie krwi — żadnej deprawacyi. Farsy, „kawały“, anegdoty kawalerskie, tu i owdzie ciekawy obrazek obyczajowy, to wszystko trzeźwe w swem szaleństwie, nieobłudne, bystre, wiedzące „gdzie raki zimują“, dowcipne, prostackie — jak rozmowa po nie wiedzieć którym kieliszku, okupujące treść drastyczną bujnym rytmem życia, świeżością czasem bukoliczną i — rzecz bardzo znamienna — zachowaniem mimo wszystko taktu artystycznego, smakiem. — „Ja chcę, ja potrzebuję, ja muszę je kochać... kochać bez granic, bez pamięci, jak owad, jak pies, ptak, zwierzę swoją samicę, wszystkiemi instynktami istoty mego gatunku“... mówi autor w którejś noweli, i czytelnik mimowoli poddaje się bachicznemu urokowi tego „okrzyku odwiecznego szału“.

Biała dama z Liwoczy, przez Maurycego Jokai'a. — Powieść z czasów nieudanej na początku XVIII w. rewolucyi węgierskiej. Historya genialnej intrygantki, „anioła-szatana“. Typ to, wysoce romantyczny a przytem prawdziwy, *lekkiego bohaterstwa*, przebiegłości i prostoty, zapału i zimnej krwi, cnoty i grzechu, skojarzonych *ideą* (nieco ciasną, i to jest błąd rysunkowy tej postaci). Fatalizmem tej magnetycznie pociągającej istoty jest, że w grze stronnictw, do której weszla, zachowala świadomość własnego celu. Skutkiem tego, rzucana od jednej partyi do drugiej, stała się ofiarą potęg, które wciągnęla w swe zuchwałe rachuby, jako narzędzia swej ambicyi. Tymczasem nieproporcyonalnie potężne te narzędzia ją zużytkowały i zmiażdżyły... Nie przebaczono jej zuchwalstwa gracza, głową przypłaca niespokojność swych przebystrych władz duchowych. Śmierć jej robi tragiczne wrażenie zemsty ciężkiego, zbiorowego życia za *brawurę* niezrównaną tej lotnej i wartkiej kobiety; charakterystyczny koniec awanturników. Zdają się ginąć za twórczy zamęt, w jaki wprawiają stojące wody życia. Łapią się we własne, z nieposkromioną swadą rzucone sieci, a nieubłagany zbiorowy sędzia rzuca ich zagładzie z tą samą lekkomyślnością, z jaką ongi sami stawiali na kartę losy jednostek i ludów... Tak spełnia się odwieczne prawo odwetu, biblijnego „oko za oko“.

Piękna ta staroświecka powieść w stosunku do współczesnej

jest może mniej świadomą artystycznie, lecz może bardziej intuicyjną. Dzisiejsza dbałość o tło znajduje równoważnik w ewokacyjnej sile dodanego szczegółu. Fabuła nie jest pretekstem problematu, lecz problematem samym, łańcuchem hieroglifów. Lwi pazur bujnego talentu znaczny wszędzie—w bystrości toku, wypukłości postaci, dramatyczności i pomysłowości scen, jednolitości akcyi, znakomitej mimo pewne splątania (łatwe w takiem spiętrzeniu). Młody dzisiejszy twórca niejedną znalazłby naukę na tych samorzutnych kartach starego mistrza.

Przystań, przez Julię Terpiłowską.— „Uspołecznienie", sielankowe zresztą i utopijne, wydaje się w tej książce prawomyślną osłonką dla nieumiarkowanego rozflirtowania (charakteryzującego te smętne czasy przymusowego kobiecego bezrobocia — we wszystkich, starych i nowych dziedzinach). Zkądinąd autorka nie jest bez talentu, umysł ma zdolny i żywy, choć rozprasza go w *dyskusyach,* zamiast skupić w obserwacyi rzeczy *przeżywanych,* tego jedynego wiecznego źródła świeżości. Spotykamy się tu również z dowcipem, szkoda tylko, że degenerującym często w małostkową kobiecą złośliwość.— Pewne bezwartościowe naiwności światopoglądu znikną zapewne z czasem i doświadczeniem.

Po szczeblach, przez Pawła Bourget'a.— Jest to, w formie powieści, staranne i ciekawe studyum obyczajowe. Talent badawczy autora, obrawszy sobie tym razem temat rozleglejszy i głębszy, wydał rzecz godną rozpamiętywania, w której teza (koniecznie) dostępuje wyżyn idei. Jest nią *fatalny tragizm skróconych procesów ewolucyjnych* w narodzie i jednostce. Rozwój ich podlega prawu ciągłości i mądrej powolności („*savante lenteur*", jak mówi Guaita). Tylko uwzględnienie czynnika CZASU gwarantuje ich harmonijność, trwałość i normalność. „Przeskakiwanie szczebli" nie uchodzi bezkarnie, wytwarza proces chorobliwy, — gwałtowny, rewolucyjny, katastroficzny, pociągający tragiczne reakcye, cofania się. Tak się mści Czas, złośliwa wróżka, nie zaproszona na gody. (Czasy muszą „się wypełnić", tak lub owak). Autor wtajemnicza nas poglądowo i z prawdziwem mistrzowstwem w *technikę* tych reakcyj. Mianowicie dzieje się to skutkiem dysharmonii z otoczeniem. Powstawanie nowych środowisk, układanie się waruków, stosunków, narastanie ich dokoła nagle wyrwanej z gruntu rodzimego i wywyższonej przez ambicyę jednostki, — jej słowem *otocz życiowa* jest dziełem żmudnem, nie dającem się już żadną miarą przyśpieszyć, tak ściśle określonem w czasie jak np. ciąża, od tysiąca nieśpiesznych czynników zależnem. (Przyjaźń, znajomości, wżycie się w obyczaje i tra-

dycye nowych sfer i t. p.). Otoczy tej pozbawiona, przedwcześnie wyrosła indywidualność narażona jest na wszystkie katusze, pokusy i klęski „wyrwania z korzeniem", a przedewszystkiem na samotność rodzącą obłędy złudzeń, zwątpienia i chucie. Zniesienie „kontaktu" duchowego ze społeczeństwem wnosi w duszę jednostki nierównowagę i jej symptom: negacyę, wytwarzającą ateizm, odrzucenie rodziny, komunizm chaotyczny. Stracony zmysł toku społecznego wytwarza anarchię, a w ślad jej negacyę czynną, czyli zbrodnię. — Książka, jak widzimy, jest protestem przeciw szalonemu napięciu dzisiejszego karyerowiczowstwa, wyścigów z przeszkodami na wyże duchowe i społeczne. Jest to głos prawicy normującej. Przeciwwagę widzi autor w powrocie do hierarchii, rodziny a zwłaszcza religii, która jedna, jako dusz mistrzyni, może wpłynąć na zwolnienie gorączkowego pulsu ambicyj i żądz. W tych postulatach, zdaniem naszem, spotyka się nadzwyczajna głębia i przenikliwość *analityczna* Bourget'a ze swoją naturalną granicą. Genialny krytyk jest lichym prorokiem. Nie uwzględnia on *prawa retrospekcyi,* mocą którego przeszłość nie zmartwychwstaje, ale *się przetwarza.* Dawne czasy wrócić się nie mogą: najkonserwatywniejszym nawet naturom stały się zbyt ohydnemi ich gwałty i okrucieństwa. Dążymy bez wątpienia do nowej hierarchii, rodziny, religii, ale ich odrodzonego typu nie oglądała jeszcze ziemia. Ustrój ich kształtuje się powoli w tym właśnie chaosie nędz, nadużyć i szaleństw skrajnych, których zło przemijające zaślepia Bourget'a na ich twórcze własności. I tym razem „religia cierpienia ludzkiego" osłabia w nim religię ludzkiej siły i przyszłości... Aktualny interes książki stanowi znakomity obraz stosunków paryskich, „uniwersytetów ludowych", warstw studenckich i robotniczych.

Mirtala, przez Elizę Orzeszkową. Jedna z tych fantazyj historycznych, na które autorka transponować lubi współczesne zagadnienia społeczne. Bohaterem raz jeszcze jest lud żydowski, jeden z głównych wybrańców jej rozlegle współczującego serca. Żywioł moralny, współczucie, jest i w tem dziele głównym motorem jej twórczości, z krzywdą nieraz dla bardziej intelektualnych czynników historyozoficznego lub psychologicznego badania. Innym, słabszym już bodźcem jest wyobraźnia, gatunku raczej efektowego, dekoracyjnego. Niemniej udane są pewne obrazy, np. dom Helwidyusza, kolumnady Rzymu, „tańce trojańskie" i zjawienie się Bereniki w cyrku. Są to udatne malowidła olejne z epoki Siemiradzkich. Typy są również nieco oleodrukowe. Styl jak zawsze trochę przekwieco-

ny. Wszystko to staranne, zacne, popularne, a przytem nieprawdziwe i ogólnikowe — jak komunał.

„Jak tęcza“, przez Gabryelę Zapolską. — Bezwiednie monstrualny amalgamat rzeczy poważnych i płochych, w którym autorka dała miarę swego nieuleczalnego snobizmu. Wyraził się on w wyborze tematu „mistycznego“ (rozdwojenie osobowości), w „secesyjności“ akcesoryów i pozie „estetycznej“, któremi zastąpiła dawne naturalizmy i findesiècle'izmy, równie powierzchowne, echowe. Organiczna jakoby niemożność uświadomienia, ciasnota horyzontów bezinteresownych, niepoprawnie pensyonarska idealizacya, fałszująca kokieteryjnie naturę i przebieg zdarzeń, oto smutne cechy tej orgii narcyzowej próżności kobiecej. Uderza przytem ślepota na przedstawiane charaktery: bohaterka mimo wszystkie usiłowania uwytwornienia duchowego jest opłakaną nędzarką ducha i ciała; partnerzy jej są martwemi kłamstwami. Zręczne są tylko, jak zawsze, szkice środowisk modnych.

Pewne tematy są nazawsze niedostępne dla pewnego rodzaju talentu; godność zaś pisarska polega na tem, by ręką niepowołaną nie profanować rzeczy, których należycie uczcić się nie umie. Motyw sparodyowany przez p. Zapolską wymaga kapłaństwa geniuszu, poetycznej potęgi symbolu (np. myt, legenda) albo bystrej i rzetelnej przenikliwości badawczej (np. Bulwer, A. France). Wszystko inne jest śmiesznem zuchwalstwem grubości duchowej.

Romans gąski, przez T. Prażmowską. — Rzecz bez wartości, tu i owdzie barwiona bladym talencikiem szkicowania; czcze szafowanie słowem i złośliwość, która się autorce wydaje równoznaczną ze zmysłem satyry. Złudzenie!

Maks Havelaar, przez Multatuli'ego. — Książka jest ciekawym dokumentem procesu uświadamiania się natury *lewicowej*, trybuniej, zagnanej przez Los przekorny w „prawicę“ administracyi państwowej. Wśród warunków sprzecznych, przeto energicznie uświadamiających, uwyraźnił się w urzędniku holenderskim instynkt „oporu władzy“ konfliktem zbudzonego, wrażliwego sumienia demokratycznego z okrucieństwami kolonialnego systemu. „Maks Havelaar“ jest aktem sumienia, pamfletem beletrystycznym, natchnionym skutecznością „Chaty wuja Toma“. Nie wierzymy jednak w *zupełny*, jak to zbyt często autor powtarza, brak ambicyi artystycznej. Przeczy temu często zdradzająca się chętka literacka (ciężkie próby „humour'u“, dygresye groteskowe, idealizacye). Pominąwszy duży pono rozgłos polityczny dzieła, otrzymujemy rzecz niezdarnie skomponowaną, bezsilną w ekspresyi, z której wyskakiwać zdaje się piękny i poe-

tyczny epizod o „Adindzie“ i „bawołach“. Do niego właściwie można było zredukować tak oryginał jak tłómaczenie.

Na wodzie, przez Guy de Maupassant'a.—Jest to dziennik podróży genialnego i „zniechęconego“ artysty francuskiego, czyli człowieka, którego atawizmy, tradycye kulturalne i tryb życia czynią niemal niezrozumiałym dla naszego ostatecznie prowincyonalnego pół-barbarzyństwa. Ta może duchowa niewspółmierność omamiła autora pobieżnej zresztą przedmowy, gdy tego dyletanta pesymizmu o myśli ruchliwej, wszechstronnej lecz krótkiej (zkąd paradoksalność), nazywa „myślicielem surowym... idącym do końca swojej myśli“. Umysł Maupassant'a nie przekracza nigdzie sfer średnich artystycznej Europy. Wartość jego niezniszczalna, jego „jedyność“ tkwi w czemś całkiem innem. Mózgowcem nigdy nie był ten genialny, niesłychany *wrażliwiec,* u którego inteligencya zdaje się być tylko fosforyzacyą niezrównanych zmysłowych, uczuciowych i intuicyjnych *sensacyj,* wizyj „żywszych od rzeczywistości“, jakby nieustannie „wdychał eter“ i świat przewrażliwionemi i chciwemi zmysłami oglądał w spotęgowaniu malignowych niemal roziskrzeń. Ta wiecznie czujna, bezpośrednia i hodowana, sześciokrotna pobudliwość w okresie najwyższego rozkwitu, chylącego się melancholią i niepokojem ku katastrofie, unieśmiertelniła te przedziwne karty z podróży, gdzie każdy szczegół wykwita zaklętym czarem osobnego poematu, gdzie w oczach naszych życie przemienia się w baśń z tysiąca i jednej nocy. Tu i owdzie wplątane dygresye historyczne i rozmyślania są nader ciekawe, ale mniejszą posiadają wartość.

Przekład świadczy o uzdolnieniu, lecz i niedbałości tłómaczki: obok doskonałych stronic i na nich spotykamy błędy słownikowe, składniowe i nawet gramatyczne.

Obrazki z przeszłości, przez Kazimierza Glińskiego. — Na talencie autora, jak indyjska „karma“ długoletnich „tygodnikowych“ rozpraszań, ciąży nałóg oleodruku, banalności sielankowych i sentymentalnych. Smutne te odruchy sprawiają, że „Dwa szczęścia“ np. jest przeszarżowaną idyllą historyczną i nie osiąga pełni barw istotnych, a za to razi beztaktami artystycznemi. Z tej również przyczyny „Ostrzeżenica“, wspaniała w swej zwięzłości dramatycznej, ideowej głębi, zrozumieniu epoki i wstrząsającej symboliczności faktów, nie posiadła jednolitej doskonałości (mdłe spotkania króla z kmieciem). W „Kowalowej górze“, znakomicie zebrany materyał baśni nie zapłonął sensem wyrocznym. „Historya prawdziwa“ jest kapitalną (choć znaną) farsą, wybuchem homerycznego humoru. Reszta jest nieuleczalnie błaha. Legendy Chrystusowe godne kalendarza...

Na normandzkim brzegu, przez Maryę Konopnicką.—Zbiorek jest ozdobą nowelistyki polskiej. Są to treściwe syntezy pewnych grup wrażeniowych, pełne, okrągłe okienka wybite na nieskończoność, wizye życia nadmorskiej Normandyi. Szumi i przelewa się morze „wzdęte jakby odedna tchnieniem płuc olbrzymich", zatapiające barki i wyrzucające trupy, kształtujące i niszczące „swych ludzi", ten odrębny a tak człowieczy lud rybaków; oglądamy ich zabobony i bohaterstwo, czystośc rodową i namiętność zysków, „newrozy" tęsknot i „zaloty hypnotyczne" („Przy drzwiach otwartych," jedna z najpiękniejszych nowel, stylowo najczystszych), ich jaskrawe odpusty i hałaśliwe targi, ich starość, steraną aż do ostatniego włókna, pogrążającą się w unicestwienie z wegetacyjną rezygnacyą więdnącej rośliny. Nad tem wszystkiem tchnienie bezwiednego, codziennego fatalizmu, „zlewającego się i jednoczącego z prastarym bólem świata", „idącego ludami", podawanego „przez czasy czasom, przez narody narodom, jak gorejąca pochodnia..." („A capella").

Mniej udany jest cykl „Ci mali". W „Szlendakach" jest coprawda magia ruin i barw gobelinowych; lecz „Mój zegarek" jest fiaskiem recepty *o wielkiej idei w małym temacie,* a „Hanysek" nie został doszkicowany.

Autorka stoi w zenicie swego uświadomienia artystycznego,—obraca się z zupełną swobodą w swej duchowej pracowni i używa wytrawnie narzędzia swego bogatego, giętkiego i żywotnego stylu.

Listy do Frani, przez Marcelego Prévost'a. — Głośny autor pieprznych „Listów kobiecych" i „Pół-dziewic", wrodzony miłośnik i znawca kobiety współczesnej, nawrócony przez „Dziewice mocne" emancypacyi do odtwarzań szlachetniejszego typu nowożytnej Walkiryi, w „Listach do Frani" odnawia tradycye najlepszej francuskiej sztuki epistolarnej, a przytem rzuca ciekawo światło na stosunek oświeconego mężczyzny do coraz potężniej rozwijających się prądów równouprawnienia. Jestto stosunek przedewszystkiem *ojcowski,* ale nie Jowisza do Minerwy — raczej znużonego starca do ostatniej niespodzianie rozkwitającej latorośli... „Zbudzenie Brunhildy" odbyło się żywiołowo, bez jego woli; i to zdaje się go przedewszystkiem zachwycać, zniewalać do pokornego niemal polecania swych służb wiernych i doświadczonych młodej, niespożycie świeżej monarchini. Jest oczarowanie i hołd poddańczy w szlachetnych, przyjaznych i czułych radach pół-zakochanego „wuja" Frani, które kreślił rozrzewniony i macierzyńsko zaniepokojony rozsądek, a których skuteczność jest wątpliwa, jak wszystkie paliatywy, bez siły suggestywnej, jak wszelka kompromisowość w dobach energicznej akcyi. Charakte-

rystycznem jest, że te kokosze troskliwości wychodzą dziś od mężczyzny.

Po za praktyczną wartością wielu wskazówek i ceną dokumentu, wielkim powabem książki jest ożywiająca ją *instynktowa miłość potomstwa;* wprawdzie, jak mówiliśmy, bez grandezzy starego boga dla swych bożąt (porównaj z „Wyszehradem“ Zeyera), ale może tem wzruszająca, że tak bezinteresowna, cicha, zapatrzona w przyszłość należącą do innych, z zaparciem się siebie błogosławiąca nową, odrodzoną, młodzieńczą Ludzkość, w której nie będzie pana i niewolnicy, w której obie równe moce świata staną naprzeciw siebie „nie jak wrogi“ —

„Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — Bogi“.

Dwa głosy, przez Gustawa Daniłowskiego. — Nieco mdły talent autora reaguje żywiej na tematy czerpane ze specyalnych warunków życia w Królestwie. Małe jednak i nieuświadomione postulaty twórcze i artystyczne utrzymują go wciąż na niskich poziomach miernoty. A przecież bogaciej uszczegółowione tło i samoistniejsza a żywa charakterystyka godziłyby się doskonale z tym sentymentem idealistycznym, który dziś rozpływa się w wodnistej treści, nie podtrzymywany kanwą faktu, nie wchłoniony przez Rzeczywistość. Bliższe zaznajomienie się z francuską nowelą obyczajową, tak jędrnie epicką a tak przepłomienioną uczuciem (np. Eekhoud, Maupassant, i t. d.) miałoby bez wątpienia wpływ korzystny.

Trzy cmentarze, przez Antoniego Millera. — Coś jak parafraza „Nieboskiej“ przez dyletanta pełnego dobrych chęci lecz małych sił i nieodpornego na suggestye. Razi górnolotność zimna i szafowanie na traf słowem błyskotliwem i wymyślnem. Dobrym na przyszłość symptomatem jest zmysł kompozycyjny przy zupełnym zresztą braku uzdolnienia poetyckiego. Znamionowałoby to nieuświadomione zdolności innej kategoryi.

Fragment, przez Wiktoryę Przeradzką. — Samodzielne studyum dziecka-anarchisty z natury. Znać osobiste zetknięcie się z opisywanemi warunkami nędzy moralnej i społecznej, zdolność obserwacyjną i krytycyzm. Zakres jednak trochę ciasny, przytem świat „pięknych dam“ traktowany szablonowo-idealnie a w dodatku niewyraźnie, zbyt „po za czasem i przestrzenią“, co się kłóci z realistycznością tematu i faktury. — Obiecujące jako próba.

Z pamiętnika psychopaty, przez Wacława Żmudzkiego. — Martwiące wyznania organizacyi chorej i ubogiej, pozbawionej w szczerości swej poczucia niesmaku. Ponura i płaska historya,

wzbudzona przez literaturę zboczeń i zwichnięć, lecz bez ich horyzontów, napięcia, talentu.

Wybór nowel francuskich, tłómaczyła M. Rakowska. — Perłą zbioru jest „Przygoda Tseila“ Villiers de l'Isle-Adam'a, pięknie, okazale i mądrze inscenizująca znane zjawisko *suggerowanego domysłu,* którego potęgę wyzyskiwano po wsze czasy dla rządzenia ludźmi — *przez ich własną cerebracyę.* — „Żona“ Villetard'a ma zalety lotnego przeglądu życia kobiety. — „Legenda Orła“, (zwłaszcza „Ona“), d' Esparbès'a, ma w sobie okropność wojny, siekaninę ciał, woń krwi i grozy mistyczne. — Drobiazgi Schwoba świetnieją psychologią trafną i niezwykłą. — Naogół rzeczy mniej ważne, nie pierwszorzędnego znaczenia, choć nacechowane miarą, zwięzłością i „esprit'em“ francuskiej kultury. — Przedmowa zdradza pisanie „z urzędu“, bez wielkiego przekonania i pewności siebie...

Po rozwodzie, przez Gracyę Deledda. — Jedna z wielu powieści ludowych włoskich. Pochodzenie (z ludu) i klimat, wyzwalające z wielu despotycznych na Północy i wśród „sfer wyższych“ przesądów, przyczyniły się do bezpretensyonalnej swobody, braku przesad uczuciowych i do bezpośredniości wrażeń. Fatalizm jednak kobiecej natury czy warunków, w których żyje, odbił się na chudości epickiej dzieła. Ciekawemby było zbadać, o ile ta niemoc realistyczna piór kobiecych (zkądinąd tak lirycznie bujnych) ma źródło w niemocy życiowej, w słabym instynkcie Rzeczywistości (tak zresztą systematycznie przytępianym przez całokształt moralnych, prawnych i policyjnych ograniczeń, zakazów, strachów paraliżujących).

Nad dalekim cichym fiordem, przez Agot Gjems-Selmer. — Nieco przewdzięczony (chroniczna przywara twórczości kobiecej), mimo to często wdzięczny obrazek życia skandynawskiego, ekscentrycznego klimatu dalekiej Północy, — zórz, lodów, huraganów, jasnych nocy i czarnych dni—i załamania się ich w egzystencyi dziecinnej dokoła ogniska domowego, którego czar wzrasta w tych strefach niegościnnych. Kilka zwłaszcza krajobrazów (np. z reniferami) żywemi barwami i plastyką zostaje w pamięci, a dzieci, dla których książka przeznaczona, będą przepadały za niektóremi „Stilleben'ami“ „domku lalek“.

Listopad, przez Andrzeja Niemojewskiego. — Autor ma w wysokim stopniu poczucie dotykalnej, bryłowatej realności życia. Znać tu wszędzie twardą lecz skuteczną szkołę „psiej skóry“, osobistego doświadczenia, wczesnego rozgarnięcia mglistości i niepewności narodowego marzycielstwa. Tej rzeczywistości jest on poniekąd niewolnikiem. Siły wolne, lotne, wyobraźniowe zostały w nim upośle-

dzone na rzecz dokładności życiowej, ptak na rzecz drzewa, skutego z gruntem, w którym potęgę swą czerpie.

Powyższy zbiorek szkiców, dość zresztą różnorodnych, wywodzi się naogół od „Germinal'u", a raczej od ech, które obudził w atmosferze demokracyi krajowej. Związki pokrewieństwa łączą je też z dziełami Jerzego Eekhoud'a, choć nie dorównywają mu ani bujną i zuchwałą dramatycznością, ani patosem odczucia, ani artyzmem. Zrobimy tu wyjątek dla „Po dniu wypłaty" i „Ojca"; oba te utwory są artystycznie skończone, pełne ponurego tragizmu, a obraz trupów wyłaniających się z pola błotnego „kurzawki" i oświetlonych lampkami górniczemi („Ojciec") wstrząsa potęgą ewokacyjną i tym samorzutnym symbolizmem, który tkwi w każdem silnem wrażeniu. Ironia mniej się udaje autorowi, zbyt na nią masywnemu; sentymentalizmy psychologiczne psują tu i owdzie całość. — Ale perlą cichego wdzięku jest „*Sarenka*", idylla kobiecości - rozrodczej, a duży urok marzenia filozoficznego ma „Ołowianka".

Przed burzą, przez Stanisława Nałęcz-Ostrowskiego. — Rzecz podana jako całostka z cyklu, lecz w istocie tylko tom niedokończonej, mechanicznie urwanej powieści. Ujawnia ona talent istotny, wicher wyobraźni, poczucie natury i nastroju, ale też silną skłonność do fuszerki popłatnej i powierzchowną inteligencyę. Historya jest dla autora tylko dekoracyą dla psychologii banalnej i płytkiego idealizmu, sposobnością gadania pseudo-archaiczną okrągłością okresów; nigdzie przeczucia niezmiernej powagi odwiecznej gry dziejów i przerażającej głębi charakterów, które na barach tytanicznej świadomości przyszłość świata noszą. — Silne suggestye „Trylogii" Sienkiewicza.

Izrael, przez Hall Caine'a. — Opowiadanie jednym tchem wyrzucone z wyobraźni rozognionej mistycznie pojętemi męczarniami bytu. Ta fanatyczna niemal religia Opatrzności stanowi jego jedność i siłę suggestywną. Przyczynia się do tego tło egzotyczne, maurytańskie, przedstawione z wyrazistością rzeczy widzianych. Fabuła jest po staroświecku bajeczna, rozwichrzona i porywająca, lecz pogłębiona symbolizmem nieraz przedziwnie głębokim i wzruszającym. — Wadą dzieła jest brak punktacyi dramatycznej, rozczłonkowania w łonie kurczowej jakby jedności. Skutkiem tego kulminacyjne momenty nieześrodkowują akcyi, wszystkie zdarzenia stoją na jednym planie, opowiadanie nie staje się nigdzie wizyą kompletną, teraźniejszością. — Przekład niezawsze wystarczający.

Własт.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — Al. Bugski. *Cienie.* Poemat. Warszawa. Nakładem autora. — Dante Alighieri. *Boska komedya.* Przekład Edwarda Porębowicza. Część III: *Raj.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Z. Krasiński. *Irydion.* Přeložil Fr. Kvapil. Praha. J. Otto. (Sbornik Svietove poesie, sv. 88). — Liliana. *Płomienie.* Warszawa. Druk. Uniw. Jagiell. w Krakowie. — Fr. Nietzsche. *Tako rzecze Zaratustra.* Przełożył W. Berent. („Dzieł" tom I-szy). Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza. — Fr. Nietzsche. *Dytyramby Dionyzyjskie.* Przełożył St. Wyrzykowski. („Dzieł" tom IV-ty). Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza. — Br. Ostrowska. *Poezye.* Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — M. Pierwocha. *U krynicy.* Warszawa. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. — G. Porębski. *Poezye.* Kraków. Druk. W. L. Anczyca. — Sł. Pruszyńska. *Poezye.* Warszawa. J. Fiszer. — *Psalm sromu.* Głos z za grobu. Poznań. J. Leitgeber i Sp. — Leopold Staff. *Ptakom niebieskim.* Lwów. Księg. Polska. — P. Verlaine. *Wybór poezyi.* Przekład Barbary Beaupre. Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza. — J. St. Wierzbicki. *Ku słońcu.* Lwów. Tow. Wydawnicze. — H. Zgórska. *Miłość.* Druk. A. Krzyżanowskiego w Łomży. — J. Żuławski. *Xięgi niektóre z żydowskich pism starego zakonu wybrane.* Lwów. H. Altenberg.

POWIEŚĆ. — E. Bulwer Lytton. *Zanoni.* Przekład M. Komornickiej. 3 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — T. Jeske-Choiński. *Gasnące słońce.* Tomów 4. Warszawa Bibl. Dz. Wyb. — Conan Doyle. *Pamiętniki Holmsa, słynnego ajenta londyńskiego. I.* Warszawa. Skł. gł. u M. Borkowskiego. — M. Czerny. *Odłogiem.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — W. Gąsiorowski. *Orlęta.* Lwów. Księg. Polska. — W. Gomulicki. *Brylantowa strzała i inne nowele.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Gorkij. *Więzienie.* Warszawa. Nakł. wydawnictwa „Isis". — V. Hladík. *Barevné skizzy a malé povídky.* Seszit I. Praha. J. Otto. — V. Blasco Ibanez. *Rudera* (la Barraca). Przekład A. Świderskiej. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Z. Kaczkowski. *Rozbitek.* 4 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — R. Kipling. *Pod niebem indyjskiem.* Przeł. A. Gawrońska. Lwów. H. Altenberg. — Selma Lagerlöf. *Legendy Chrystusowe.* Przekł. W. Młodnickiej. Lwów. Księg. Polska. — Selma Lagerlöf. *Gösta Berling.* 3 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — D. Miereżkowskij. *Piotr i Aleksiej.* S.-Pietierburg. Izd. M. W. Pirożkowa. — M. New-Twain. *Orfeum warszawskie w roku 1910.* Warszawa. — Wł. Orkan. *Herkules nowożytny i inne wesołe rzeczy.* Kraków. Spółka nakładowa „Książka". — St. Przybyszewski. *Androgyne.* Wydanie nowe. Lwów. Tow. Wydawnicze. — F. de Roberto. *Złudzenia.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.— M. Rodziewiczówna. *Jerychonka.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Rodziewiczówna. *Straszny dziadunio.* 2 części. Warszawa. Nakł. „Wędrowca". — M. Rodziewiczówna. *Błękitni.* 3 części. Warszawa. Nakł. „Wędrowca". — M. Rodziewiczówna. *Na fali.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Rodziewiczówna. *Na wyżynach.* 4 części. Warszawa. Nakł. „Wędrowca". — L. Rygier. *Mój wuj, jego jeleń i nowe prądy.* Warszawa. M. Borkowski. — J. Rzewuski. *Symfonia bólu.* Nowele. Warszawa. Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. — H. Taine. *Żywot i myśli p. F. T. Graindorge.* 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Oskar Wilde. *Opowiadania.* Przekł. M. Feldmanowej. Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

DRAMAT. — J. Kasprowicz. *Bunt Napierskiego.* Poemat dramatyczny. Wydanie nowe. Lwów. Tow. Wydawnicze. — St. Kobyliński. *Beati.* Kraków. Skł. gł. u Gebethnera i S-ki. — St. Krzywoszewski. *Biały królik.* Petersburg. Księgarnia Polska. — Wł. Orkan. *Wina i kara.* Kraków Spółka nakładowa „Książka". — J. Słowacki. *Zawisza Czarny.* Z autografu wydał Artur Górski. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Z. Wójcicka, *Ewa.* Lwów. H. Altenberg. — J. Żuławski. *Ijola.* Lwów. Księgarnia Narodowa. — J. Żuławski. *Wianek mirtowy.* Lwów. Księgarnia Narodowa. —

STUDYA LITERACKIE. — L. Bioy. *Brelan vyobcovanych.* Babice p. Lesoni-

ce (Morava). „Studium“. — P. Chmielowski. *Najnowsze prądy w poezyi naszej*. Wydanie trzecie. Lwów. H. Altenberg. — Ola Hansson. *Jasnowidze i wróżbici*. Przeł. St. Lack. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Wł. Jabłonowski. *Wśród obcych. Zarysy i notatki literackie*. Lwów. Księgarnia Polska. — R. Plenkiewicz. *Mikołaja Reja z Nagłowic Etyka. 1505–1905*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

ROZPRAWY ESTETYCZNE. — J. Blockx (syn). *Poradnik dla artystów malarzy i miłośników obrazów*. Przeł. K. Mordasewicz. Warszawa. Skł. gł. u J. Fiszera. — T. Jaroszyński. *Zaranie malarstwa Polskiego*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — F. Starczewski. *Scola cantorum oraz Wincenty d'Indy jako pedagog*. Warszawa. Druk. W. Cywińskiego. — F. Starczewski. *Program porównawczy różnych szkół muzycznych*. Warszawa. Druk. W. Cywińskiego. — K. P. Wize *„In der Stunde der Gedanken“. Ueber die schoenen Künste*. Berlin. R. Trenkel.

PISMA FILOZOFICZNE. — H. Beyle (de Stendhal). *O miłości*. Przeł. W. Mitarski i St. Lack. Lwów. H. Altenberg. — G. L. Duprat. *Kłamstwo*. Przeł. J. Lorentowicz. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Fr. Nietzsche. *Poza dobrem i złem*. Przeł. St. Wyrzykowski. („Dzieł“ t. II-gi). Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza. — Fr. Nietzsche. *Z genealogii moralności*. Przeł. L. Staff. („Dziel“ t. III-ci). Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza — Fr. Nietzsche. *Zmierzch bożyszcz czyli jak filozofuje się młotem*. Przeł. St. Wyrzykowski. („Dzieł“ t. V-ty). Warszawa. Nakł. J. Mortkowicza.—J. Payot *Wykład moralności*. Przekł. J. Warnkówny. Warszawa. E. Wende i Sp. — K. Wagner. *Prostota w życiu*. Tłóm. Wł. Zarembina. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

KWESTYE SPOŁECZNE. — Sz. Askenazy. *Uniwersytet warszawski*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Dr. H. Herkner. *Kwestya społeczna w zachodniej Europie*. Lwów. Polskie Tow. Nakładowe. — E. Key. *Nowe szkice*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — H. Konic. *Samorząd gminny w Królestwie Polskiem w porównaniu z innemi krajami europejskiemi*. Wydanie drugie. Warszawa. E. Wende i Sp. — Dr. St. Kutrzeba. *Historya ustroju Polski w zarysie*. Lwów. Księg. Polska. — Dr. E. Löbl. *Kultura i prasa*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — G. Maier. *Prądy i teorye społeczne*. Warszawa. G. Centnerszwer i Sp. — W. Blake Odgers. *Angielski samorząd miejscowy*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Wł. Studnicki. *Rozwój form politycznych i stosunki ekonomiczne Szwajcaryi*. Lwów. Tow. Wydawnicze.

HISTORYA. — J. Bieliński. *Żywot ks. Adama Czartoryskiego*. 2 tomy. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Al. Kraushaar. *Dwa szkice historyczne z czasów Stanisława Augusta*. 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Sorel. *Kwestya wschodnia w wieku XVIII*. 2 tomy. Warszawa. Gebethner i Wolff.

PAMIĘTNIKI. — Ad. Moszczeński. *Pamiętnik do historyi polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III i pierwszych Stanisława Poniatowskiego*. Z przedmową H. Mościckiego. Warszawa. Gebethner i Wolff.

ETNOGRAFIA, FOLKLOR, PODRÓŻE. — Okakuro Kakuzo. *Przebudzenie się Japonii*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — P. Loti. *Indye*. Przekł. J. Jankowskiego. 2 tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — B. T. Washington. *Autobiografia murzyna*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

ARCHEOLOGIA. — M. Wawrzeniecki. *Poszukiwania archeologiczne w Królestwie Polskiem, dokonane przez M. Wawrzenieckiego 1903 r*. Kraków. Akademia Umiejętności.

BADANIA PRZYRODNICZE. — Dr. Th. Zell. *Czy zwierzę nie ma rozsądku?* (Uwagi o duszy zwierzęcej). Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

PEDAGOGIA. — K. Drzewiecki. *Nauka czytania i pisania*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — C. Niewiadomska. *Elementarz. Nauka czytania i pisania z obrazkami i wzorkami pisania*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — C. Niewiadomska. *Pierwszy rok gramatyki*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Ad. Szymański. *Najlepszy elementarz świata*. Kraków. Druk. Uniw. Jagiell.

WOJSKOWOŚĆ. — Cap. Burchard - Bélavary. *Histoire du 5-e bataillon de chasseurs.* (Algerie—Crimée—Italie—Metz). Paris. H. Charles-Lavauzelle.

WYDAWNICTWA ZBIOROWE. — *„Safrus“.* Książka zbiorowa poświęcona sprawom żydowstwa. Pod red. J. Kirszrota. Warszawa. Tow. dla wydawnictw żydowskich „Safrus“. — *Poezya.* Zeszyt I. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Studium.* Czerwenec L. P. 1905. Babice p. Lesonice (Morava). J. Deml.

NUTY. — *Hołd.* Słowa Wł. Bukowińskiego. Muzyka F. Starczewskiego. Warszawa. — *Naprzód.* Słowa Wł. Bukowińskiego. Muzyka F. Starczewskiego. Warszawa.

VARIA. — Bennet Burleich. *Państwo wschodu czyli wojna japońsko-rosyjska 1904—1905 r.* 4 tomy w dwóch. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Dr. W. Hojnacki. *Z dziedziny sportu.* Lwów. Księg. Polska. — Fr. Nietzsche. *Dzieła.* Przełożyli W. Berent, K. Drzewiecki, L. Staff, St. Wyrzykowski. Wydał J. Mortkowicz. *Prospekt.* Warszawa. MCMV. — *Sprawozdanie z działalności Teatru Miejskiego w Krakowie w latach 1899—1905.* Kraków. Czcionkami drukarni „Czasu“. — *Ucieszne teatrum albo sprawiedliwe niektórych niewiast karanie u Warszawy* odpisał i przypisami opatrzył Maryan Wawrzeniecki. Warszawa. J. Fiszer. — J. T. Wydżga. *Do serc i mózgów.* Skł. gł. u M. Borkowskiego. Warszawa.

VARIA.

ZESZYT NINIEJSZY stanowi zakończenie tomu IX-go Chimery. Tom X-ty (ostatni) ukaże się niezadługo w postaci potrójnego (28/30) zeszytu 30-arkuszowego z wyjątkowo licznemi dodatkami artystycznemi.

ANTYKWARYAT POLSKI, szeroko i fachowo prowadzony, powstaje nakoniec w Warszawie pod firmą *Hieronim Wilder i S-ka* (ul. Berga № 8). Ma on uwzględniać nietylko książki, lecz także rękopisy, autografy, obrazy starszych szkół, ryciny i sztychy. Rzecz dawno, a zwłaszcza od przerwania się wysiłków Giejsztora, gwałtownie była potrzebna. Szczerze inicyatorom życzymy powodzenia.

PARYSKA L'ART DÉCORATIF rozpoczyna wydawnictwo wolnej seryi tek graficznych 14-ma akwafortami *J. Pankiewicza.* Edycya na holenderskim papierze Van Geldera obejmować będzie tylko sto egzemplarzy, poczem płyty zostaną zniszczone. Każda odbitka ma być numerowana i podpisana przez artystę. Cena egzemplarza w wytwornej tece — 200 franków. Prospekt wydawnictwa podaje reprodukcye autotypiczne czterech nader interesujących pejzaży kwasorytowych z Paryża i Rouen. Ale mają w tym cyklu być rzeczy „rapportées d'un peu partout.“

CHIMERA.

CHIMERA

revue mensuelle de litterature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie.

Sommaire du N-ro 27 — Décembre 1906.

TEXTE: C. Norwid — *le Piano de Chopin;* St. Żeromski — *le Roman du preux Walter;* Th. Miciński — *Mewlana Djelaleddin Roumi* (traductions et transpositions); Am. Hertz — *Yseult aux mains blanches;* Dante Alighieri — *l'Enfer. Chants I et II;* E. Luskina — *Anamorphoses;* V. Berent — *les Roses;* M. C. Bielecki — *le Fils de l'homme;* L. Eminowicz — *Sur le chemin du village, Cantique de Noël;* M. Komornicka — *les Ombres;* J. Lemański — *la Tour qui chante;* Mi-Ja — *à S. Zimorowicz;* J. Rundbaken — *les Coups, la Tristesse de la vie, Ainsi parle le prophète, le Psaume de ma foi;* W. Tatarkiewicz — *Melancolie;* M. Wikszemski — *Tant de moments...,* St Wyrzykowski — *les Ifs noirs;* H. Zbierzchowski — *le Dieu de pierre;* M. Komornicka — *Oscar Wilde. Apocryphe ide l;* H. von Hofmannsthal — *Ballade de la vie extérieure, Certains sûrement...;* G. Pascoli — *la Sirène, le Baiser de la morte, la Canne du pèlerin;* E. Verhaeren — *Celle des Reliques.* — — — Revue du mois: *Glosses, les Romans, Bibliographie, Divers.*

PLANCHES HORS TEXTE: Raphaël Santi — la Tête de Dante (fragment de la *Dispute*); Ch. Tichy — *Fusain.*

DESSINS DANS LE TEXTE — de Korin, T. Niesiolowski, Fr. Siedlecki, Fr. Wojtala.

COUVERTURE — autolitographie de Ed. Okuń.

CHIMERA,

WARSZAWA — NOWY ŚWIAT, 22.

TOMY DOTĄD WYDANE (I—IX) nabywać można pojedynczo po rb. **3,** z przesyłką po rb. **3** kop. **50.**

TOM I tylko razem z tomami II, III i IV.

ZESZYTY POJEDYŃCZE — po cenie oznaczonej na każdym.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2.

Zeszyt potrójny 28/30 czyli tom X (ostatni) pod prasą.

REDAKTOR i WYDAWCA — ZENON PRZESMYCKI.

CHIMERA
WARSZAWA